



DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY
SŁUŻBIE I KULTURZE WYSTAWY

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::

Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, LWÓW, (Mikołaja Reja 3).

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 25 marek, **kwartalna** — 14 mar

Zeszyt pojedynczy 3 mark. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — **półroczna** 32 korony — **kwartalna** 17 ko

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 2

Administracja uwzględnia wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem mark pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczy się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17

Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

T. Adamczewski — Przyszły Bank biletowy w Polsce

Dr. St. Pernaczyński — O emisji not ziemskich

Dr. Z. Karpiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego

Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja —

Drogi zbliżenia gospodarczego

Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem

Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem

Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo westa

stałsko-nadreńskie a reemigracja

Paweł Spandowski — Pod adresem

przyszłego prawa polskiego o to

warzystwach akcyjnych

Dr. Marian Głowacki — Pr

siębiorstwa ubezpieczeniowe n

polkich i znaczenie ich

darswa narodowego

Stanisław Marciniak — Wp

na finansowe położenie

w Wielkiem Ks. Poznań

Cena mk. 10.—



Drukarnia „PRACY”

Spółka z ograniczoną poręka

Piekary 21

.w Poznaniu

Piekary 21

poleca się do wykonywania

wszelkich prac drukarskich

gustownie, szybko i tanio.

Telefon 3097.

Telefon 3097.

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK DOŚWIECONY SZTUCE I KULTURZE WYŚŁOWEJ

ROK 2

LISTOPAD 1918

TOM V

ZESZYT 4

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 28.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Z niedrukowanej korespondencji C. K. Norwida. Ustosunkowanie — Emil Zegadłowicz. U poetów — Miriam. Samokara — Jerzy Hulewicz (przyczubił Jerzy Hulewicz). Do Tyrzy — Wł. Blake (spolazczył S. S.) Ekspresjonizm — Słowacki i „Genesis z Ducha” — Stanisław Przybyszewski. Spotkanie — Jadwiga Lipińska. Wielki król — Amalia Hertzówna. Miedzianobrody — Stanisław Obrzud. Miscellanea — Bez maski — Emil Zegadłowicz. Otokar Brezina — Witold Buńkiewicz. Wycinanki.

RYCINY: Rysunki: Egon Schiele, Josef Capek, James Ensor, R. de la Fresnaye, Lothar Homeyer, Drzeworyt oryg. — Małgorzata Kubicka.



Rysunek Egon Schiele-Charles Piguy.

Z NIEDRUKOWANEJ KORESPONDENCJI C. K. NORWIDA.

Podał DR. BOLESŁAW ERZEPKI.

(C. D.)

5.

Tyle Ci zdążam odpowiedzieć:

Co do listu z Kairu, przesłając ci go dla malowniczości ustępów, sędzę, iż domyśliłeś się, że ufam taktowi twemu — są tam imiona osób i pasportowych nawet, jeżeli się niemyłę. — Zresztą zaś indywidualność piszącego dość jest znana, ażeby list tak poprawnie uformowany nie miał interessować. Co by raziło, wykropkujesz. —

Co do wyjątku o mnie — jest pochlebnie-słuszny, dziękuję zań.

Co do wojny — o której co innego wróżysz Klaczce, a o której niezawodności piszesz mi — to ci dodam, że Guizot w salonie jednym zapytany, czyli w podobieństwo wojny wierzy, odpowiedział: credo, quia absurdum. — — Codo mnie, trzema liniami oddaliwszy się z uszanowaniem od Guizota, powiem ci, iż niewiem, czyli w wojnę wierzę, ale wierzę w przegraną. Każdą wojnę poprzedzają wojny niewidzialne — nie z tego (: zewnętrznego świata), te Germania a mianowicie Prusy poprzedzały, wojna zatem (albo raczej ostateczne jej dotykane wyrażenie) jest podobnie naprzód już przegrana

Idzie tylko o to, czy zaczniesz się przez usunięcie się ambassadorów i zwykle przedsięwzięcie formalne? czy przypadkiem? przez naprężenie passyi. W pierwszym razie, upadek Prus, a czasowa wygrana Austrii skutkiem elementów w niej słowiańskich (: historycznie:) a politycznie wygrana Rosyi. W drugim razie — t. j. jeżeli przypadkiem wojna się rozpocznie: to przegrana osiemnastego wieku w całej rozciągłości słowa tego i we wszystkich jego akcesoriach. W pierwszym razie, wygrana dyplomatycznej przeszłości okupiona prze-

graną Prus — a nosząca w sobie przyszłą przegraną zwycięzców przez narzędzia, którym zwycięztwo otrzymane. — W drugim, przegrana czasowa blichtrów przyszłości i elementarnego liberalizmu, nosząca w sobie zaród przyszłej wygranej historycznej wieku dziewiętnastego.

Tak rozumiem i czuję.

W całym tym processie wygrana polityczna będzie przegraną historyczną i odwrotnie — aż do wrót sprawy naszej.

Prusy więc, jako nie polityczno-historyczne, jedno tylko mając do przegrania, są już dzisiaj na przegrywających stronie.

Twój

Cyprian Norwid.

Arkuszyk listowego papieru; wys. 20,5, szer. 13,3 cm. Adres: à Mr. Ladislas Bentkowski (sic) | à Posen | (: en Prusse:). Stemple pocztowe: Paris | 8 | Dec./50 — Aachen | 4/12 — Aug. | 7/12.

Mowa tu najpierw o liście, który Norwid świeżo z Kairu od przebywającego tam właśnie przyjaciela swego Karola Edmunda Chojckiego (1822—1899) otrzymawszy, niezwłocznie i żywcem przesłał Bentkowskiemu do odpowiedniego zużytkowania w Gońcu. List ten — opatrzony datą „Kair dnia 25-o Października 1850“ — zarówno dla swej treści jak ze względu na piękną formę stylową zasługiwał na publiczne ogłoszenie i ukazał się też niebawem w odcinku Gońca Polakiego, nr. 126 z 27 listopada 1850. List Chojckiego wydrukowano w Gońcu bez żadnych zmian czy opuszczeń, ściśle według przesłanego autografu, który zresztą dochował się szczęśliwie pomiędzy papierami W. Bentkowskiego. Pisany drobnym maczkiem na luźnej karcie, mającej format wielkiego trójkąta. Na zewnętrznej stronie tej oryginalnej karty przedstawioną jest w odbiciu litograficznym rudawym kolorem potężna piramida egipska, a u dołu teje wśród piaszczystego krajobrazu widnieją w środkowej partii, z lewej strony: drobna figurka stojącego mężczyzny — z prawej: mul obciążony na popasie z figurką stojącego tuż przy nim Araba. Początkowe a nie mniej i końcowe słowa listu Chojckiego domyślać się każą, że pomiędzy Norwidem a Chojckim istniała bliższa, serdeczna i zażyła przyjaźń, prawdopodobnie już przedtem zadziergnięta w Warszawie.

Ciekawej wzmianki o jakimś pochylnym wyjątku, oświadczenie Norwida dotyczącym, wyjątku, który Bentkowski widocznie przesłał z Poznania Norwidowi, bliżej objaśnić nie umiemy. Z powodu zajęcia Hesji elektoralfnej i obsadzenia tak zw. linii etapowych przez wojska pruskie. ażeby przeszkodzić prze-

marzowi austriackiego wojska do Holztynu, przyszło w tym czasie do ostrego zatargu między Austrią a Prusami, który zagrażał europejskiemu pokojowi i zakończyć się mógł istotnie wybuchem wojny pomiędzy temi państwami. Oryginalne aspekty wojenne Norwida, w tym liście rozwinięte, odnoszą się właśnie do tych głośniejszych wtedy i groźnych austriacko-pruskich zawikłań i nieporozumień.

6.

Szanowny Władysławie —

Po odebraniu tego listu — racz napisać do Teofila Lenartowicza (albo te słowa moje przesłać), aby mi zaraz zapakował i odesłał trzy-pytania, rękopism od pół roku Mu polecony. Po mnóstwie zawodów i gorzkiej niewdzięczności literatów waszych rozmówiłem się z Nestorem literatury naszej Mickiewiczem, od którego właśnie list w tym względzie odebrawszy, zajmuję się uporządkowaniem śladów pióra mego — czekam więc niezwłocznego odesłania rękopismu, nawet gdyby drukowanym być zaczął (!).

ściskam serdecznie

śluga

Cypryan.

rue St. Lazare 96.

(wpoprzek na lewym brzegu listu):

nie jest prorok beze czci tylko w ojczyźnie swojej i w domu rodziców swoich.

Arkuszyk listowego papieru; wys. 20,8, szer. 13,4 cm. Adres: à Monsieur | Ladislas Bentkowski (!) | à Posen | en Prusse. Stemple pocztowe: Paris | 20 | Dec. 50 — Aachen | 21/12 — Aug. | 24/12. —

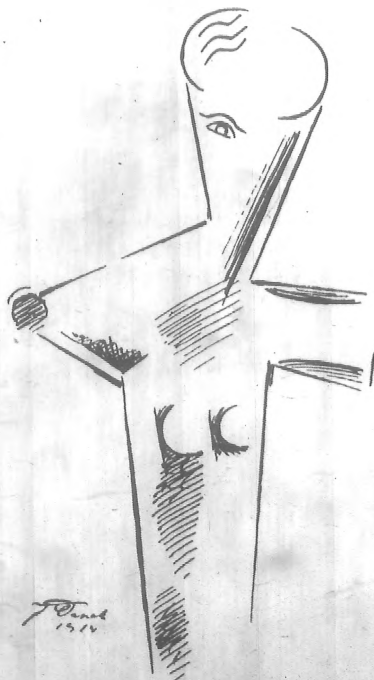
Trzy Pytania — taki był pierwotny tytuł poematu, który powstał zapewne jeszcze w roku 1848, a który pod zmienionym napisem Niewola dopiero w 16 lat później miał się ukazać na widok publiczny w Lipsku u F. A. Brockhause w roku 1864. Teofil Lenartowicz, który naówczas przebywał u nas w Wielkopolsce, jak się dowiadujemy z osnovy niniejszego listu, miał sobie widocznie już od połowy 1850 roku powierzony rękopis tego utworu, ażeby osobistemi wpływami swemi poprzeć w Poznaniu u W. Stefańskiego jego publikację. Zamierzał bowiem Norwid pierwotnie ogłosić drukiem Trzy Pytania jako drugą część swojej Pieśni Społecznej, która rok temu (1849) wyszła była z druku u W. Stefańskiego w Poznaniu. Do tego to właśnie zamierzonego wydawnictwa odnosily się niewątpliwie prowadzone już w pierwszej połowie 1850 roku listowne pertraktacje z Janem Koźmianem, a przedtem jeszcze z Włodzimierzem Lubieńskim (Zob. Cypryana Norwida Pisma Zebrane. Tom A, część II, przypisy do utworów Niewola Fulminant, str. 832—841). Że Lenartowicz skrzętnie i gor-

liwie wśród przyjaciół swoich poznańskich czynił zabiegi, ażeby stanowczo doprowadzić do skutku wydrukowanie Trzech Pytań, na czem Norwidowi wtenczas właśnie niezmiernie zależało, o tem, znając przyjazne uczucia, jakie łączyły obu warszawskich poetów, nie może być żadnej wątpliwości. W jednym z listów Lenartowicza do Ewarysta Estkowskiego, pisanym z Wrocławia dnia 18 sierpnia 1850 roku, taką czytamy w tej sprawie skierowaną do adresata marginesową admonicję: „proszę cię, pamiętaj o wydrukowaniu Norwida, bo byście mnie skompromitowali, gdyż napisałem mu, że Stefański pewne (!) wydrukuje”. Niestety również jak poprzednie starania Jana Koźmiana czy Włodzimierza Lubieńskiego, tak też i te zabiegi Lenartowicza tak gorączkowo pożądanego i niecierpliwie przez poetę wyglądane skutku nie odniosły. Utwór Trzy Pytania, pomimo usilnych starań przyjaciół poety, nie został wtedy wydrukowany.

Nową w powyższym liście Norwida i niezmiernie dla nas interesującą jest wiadomość o zawiązaniu listownych rokowań z Adamem Mickiewiczem co do przygotowania zbiorowej, jak się zdaje, edycji rozproszonych po owe czasy plodów pióra nieśczęśliwego poety. Jaki wszakże wzięły obrot i jak się w dalszym ciągu zakończyły owe z Mickiewiczem w r. 1850 zainicjowane rokowania, niewiadomo.

Dopisany na lewym marginesie tegoż listu cytat: Nie jest prorok beze czci itd. powtarza się także w Promethidionie (zob. Cypryana Norwida Pisma zebrane, wyd. Zenon Przesmycki, Tom I, str. 172).

(C. D. N.)



Jozef Capak.

USTOSUNKOWANIE

EMIL ZEGADŁOWICZ

„Nikogo nie obrażam, ale praca moja tysiące
ludzi obrazić może...”

Juliusz Słowacki.

CZŁOWIEK —

pod nazwą tą kryje się

ŚWIADOMOŚĆ —

wykwitła na powierzchni jednej z nieskończonej ilości planet,
jakie codzień rodzą się i giną, by dać świadectwo Trwaniu —

— tak wylania się z siebie mozolnie świadomość —

— jesteśmy przejawem autogenezy BOGA, która się wokół i w nas do-
konuje. —

Świadomością istnienia wnosimy się ponad materję —

Jaki jest cel ostateczny? — o to trwa walka w nas, walka na śmierć i życie! —

o tę ostateczność — —

ŚWIADOMOŚĆ —

do tego zmierza wiedza: do stwierdzenia w sobie Istnienia
i wyznaczenia stosunku naszego do Ziemi i Wszechświata; wiedza naukowa
(— w najdalszym dokonie —) zdąży drogą zaświadczeń i doświadczeń — wiedza
wyzwolona (— „radosna”, Sztuka —) intuicyjnym twórczym rzutem bez prze-
słanek.

— — — — —
Herosem wyłamującym, rozsadzającym oporny granit rzeczywistości (— wszyst-
kiego, co względne —), ostateczną realizacją (— tego, co nieodwołalne, wieczne,
jedyne) — : artysta.

Stosunek jego wewnętrzny do „Świata” — wiedny i niewiedny: budowanie
z ułamków całości;

poprzez gwary rozbieżne wsłuchanie się w najwyższy ton —

poprzez szlaki tęczy widzenie Ogniska —

poprzez nieistotne powierzchnie czucie treści —

w rezultacie pozagranicznym:

stwarzanie treści muzycznych barw:

STWARZANIE BYTU.

Stosunek jego cielesny (— niepotrzebne zresztą rozróżnianie —) — obo-
jętna zgoła sprawa,

Nędza, głód, dobrobyt to nieznaczące: nic.

Artysta jest koniecznością; przewidzianą koniecznością.

Droga jego odmierzona jego wolą.

Wola zaś sięga do granic musowego TU wypowiedzenia się; i tylko to!
Nie troszcie się o niego, bo i on nie troszczy się o was.

„..... bo silny dość nie jestem, abym jednym spojrzeniem duchy
w anioły przemieniał, a nie mam też dosyć czasu, abym nad każdą
taką istotą pracował, jak dawni nawróciciele...”

Z listu Juliusza Słowackiego
Paryż, 1. lutego 1846 r.

Zmóc w sobie wszystko tutejszel otrząsnąć pył z siebie! najwyższe (przeto
samotne) zdobyć wyżyny!

Śladami krwawych mąk i zmagañ, walk, porażek i zwycięstw, znaczącymi
szlak drogi, dążcie — wy „chcący”;

— po wypalonych w skałach znakach —

— kędy przyciąga was k'sobie jakoby brzask stu słońc —

— kędy w najwyższym dostojęństwie aureoli się szczyt —

Nie klnijcie jeno, nie czekajcie, nie żalcie się w sromotnem narzekaniu
na stromość perci, na niedostępność krzesanic,

nie jego to wina, lecz wasza, waszych słabych płuc i mięśni: tchórzliwości
waszej.

jednem słowem, nie wypracował się snąć w was duch należycie.

Rzec należy jeszcze jedno; a to jest sprawa zaparcia się, wiary, samotności,
„ascezy”.

Etyka artysty: W Z W Y Ź ! !

Bez oglądania się za się, bez wytchnienia, bezwzględnie, twardo; tu nie ma
ustępstwa na cal;

bez tęsknot za dolinami;

bez smętów nad dolą samotną;

bez snów bezpłodnych, jałowych, mdłych.

Jest moment ważenia się na te straszne sprawy — a potem już tylko prze-
paść lub szczyt —

wszystko inne jest żadnorzędną sprawą; coś co nie wchodzi w rachubę.

Nie przerażajcie się!

— Ludzkość jest jeno ewolucją;

— Człowiekiem jest tylko artysta;

Stąd kontrasty, nieporozumienia i załamania się gwałtowne u słabych.

Wszystko co ludzkość wytwarza jest utylitarności ziemskiej (— przyziemnej
nawet —) potrzebą —

Sztuka jest ostateczną prawdą, wieków i narodów słowem jedynym, jest
mową zarówno ziemi jak słońc i gwiazd, jest melodią barw i barwą melodii, jest
przykazaniem, w którym są wszystkie przykazania, dogmatem najwyższym, roz-
kazem: STAŃ SIĘ; to jest:

„ dojsć do tej doskonałości, która, kiedy chce, w słowie —
kiedy chce, w czynie — kiedy chce, w męce, jak u Chrystusa, ob-
jawia się: a panuje zawsze nad słowem, czynem i męką, jako będąca
siłą, świadczącą o synostwie Bożem Ducha naszego“.

Słowacki.

I jeszcze —
nie przystoi szargać świętości w pospolitem narzekaniu —
wszakże tu wszelki by najstraszniejszy ból sownie wynagrodzony szczęściem
najwyższem —
szczęściem dostępnem-li „świętym“.
Cierpi się i kona za dar wyłączności.
Szli też najwięksi przez świat z zaciśniętymi zębami lub z uśmiechem —
— z Błogosławieństwem — Ci z Monsalwatu.

Wreszcie:

Sztuka jest dla samotnych

ludzi i chwil.

— Dla wszystkich,

k którzy chcą i łakną

i pragną:

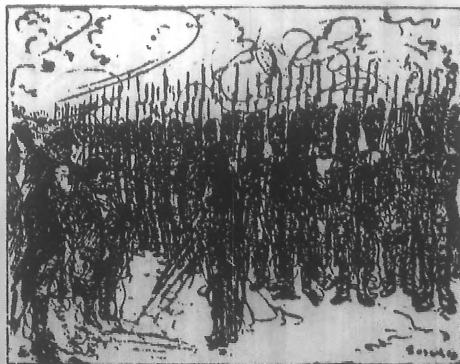
uświęcenia, wiary, przystąpienia do Stołu Pańskiego.

Dla tych, którzy w więzieniu dogorywają, którym łańcuchy wżerają się
w ciało, których wzrok w mrokach oślepl:

wyzwolenie

W DOBREJ WIEŚCI UKRZYŻOWANEGO.

Pan z Wami.



James Ensor.

U POETÓW

BALLADA W KRAINIE MARZENIA

ALGERNON CHARLES SWINBURNE.

Ukryłem serce w gęstwinie różanej,
Kędy nie dotrzeć żadnej słońca skrze;
W pościeli większej nad śnieżynek piany,
W płatkach różanych skryłem serce swe.
Dla czegoż nie śpi? czemu wciąż się rwie,
Choć ani listkiem nie drgnie róży krzew?
Cóż jest, żeś skrzydły strzepl i pierzchł, o śnie?
Tylko ptaszyny utajonej śpiew.

Leż, serce, rzekłem, ścichły wiatru tany,
Grot ostry słońca w puchach liści mrze;
Leż cicho, wiatr też, choć niezmordowany
Jak ty, zadrzemał na mórz ciepłych szkle.
Ranią-ż cię jeszcze ciernie myśli złe?
Drażni-ż nadziei niepochwytnych zew?
Cóż to tak sen ci z rzęs rozprasza wciąż?
Tylko ptaszyny utajonej śpiew.

Miana krainy tej zaczarowanej
Z map podróźniczych żadna nie wie,
A owoc słodki, jak rodzą jej łany,
Na jakimż rynku kto widział i gdzie?
Jaskółki znów śmigają we mgle,
Senne się pieśni ślaniają wśród drzew;
W kniejach nie budzi tam szczekanie psie,
Tylko ptaszyny utajonej śpiew.

W świecie marzenia błogo nieraz śnię,
Nic tu mię z ziemskich nie dochodzi stref:
O uczęd prawazie czy miłostek grze, —
Tylko ptaszyny utajonej śpiew.

PAŁAC

RUDYARD KIPLING.

Gdym Królem był wraz i Murarzem — Majstrem świadomym wszech ról,
Grunt oczyściłem pod pałac, jaki powinien wznieść Król.
Wydałem dekret — i w ziemię ludu się wrył cały ul.
Z pod itów szczyt wyjrzał pałacu, który budował snadź Król.

Niewarta chyła budowa — dowcipu próżen był plan —
Tu, tam, bez celu, w ruinie, podmurza biegły ścian —
Mularka gruba, niezręczna, lecz każdy głąz nosił znak:
„Po mnie nadejdzie Budownik. Mów mu: i jam umiał tak”.

*Swą modłą, żwawo, w wykopach, gdzie mądry zrab mój rósł,
Węty-m dawne burzył i ciosy, na mury swe biorąc ich gruz.
Na wapno-m mełł marmury, palił je, gasił i tarł,
Biorąc, niechając, do woli, ten, tamten zmarłego dar.*

*Anim gardził wszak, ni się chelpił, bo gdyśmy szcztą jeli grześć,
Błysła mi z murów burzonych serdeczna ich twórcy treść.
Powstał i wniósł swą obronę, i oto pojąłem wnet,
Z rzeczy tych, które planował, snu formę, za którym szedł.*

.....
*Gdym Królem wraz był i Murarzem — w mej pychy słoneczny dzień
Doszło mię Słowo z Ciemności szept wołających mnie tchnień.
Szept mówił: „koniec wzbroniony”. Szept mówił: „Pracy twej — grób,
„Pałac twój pójdzie, jak tamten, Królom budowcom na łup“.*

*Zwołałem ludzi z wykopów, kamieniołomów i szacht.
Wszystko, com zrobił, oddałem niewiernym dniom przyszłym pacht.
Tylkom na belkach, na głazach jednaki wyrzył znak:
„Po mnie nadejdzie Budownik. Mów mu: i jam umiał tak!”*

BYNAYMNIEŻ NIE W OBCYM KRAJU

FRANCISZEK THOMPSON.

*Anioły zawsze są, gdzie dawniej były;
Byle głaz odwrót, — skrzydeł szmer i wzlot.
Wam to, dla waszych mdłych oczu bez siły
Swą wielo-sświetność stracił zjawisk splot.*

*Lecz płacz (gdys smutny nad wsze smutku syny) —
I wnet ponad twój przebolesny los
Cud Jakubowej zaświeci drabiny,
Z wyżyną Niebios łącząc Charing-Cross.*

*Tak, duszo, córko, w noc bez szyboletu,
Płacz, progu Niebios czepiaj się — i wnet
Cicho po wodach nie Genezaretu,
Ale Tamizy, Chrystus będzie szedł,*

MIRIAM.

JERZY HULEWICZ

SAMSKARA



tóży nie czcił duszy całej wdzięcznością pamięci odeszłego człowieka, który oszczędził trudu usunięcia go precz z drogi życia?

Zawiśnie — bywa — duch pokrewny nad istotą czleka,

zstąpi nań, a rozgości się w wnętrzu jego, jakoby w własnego domu ognisku. I roznieca płomień wiecznego żaru, albo płomień gasi; i gotuje strawę dnia powszedniego, podaje, albo jej odmawia; wypełnia dom weselem, albo przygniata ciężkiego smutku kamieniem. Najrozkoszniejszy nędzom daje upust, to znów pokutną narzuci włosienicę.

Panem czyni się w domu cudzym — potem uchodzi i pozostawia straszliwą pustkę, tę rozpaczną duszy pustkę, która wreszcie w jadowitą wdzięczność się przemienia, w wdzięczność ku gościowi, który oszczędził trudu usunięcia go precz z drogi życia.

Mój dom, mój dom!

Gospodarzę w domu mym dowoli, a wolna moja wola chce, iżby dom mój w sobie się zamykał.

Na oścież otworzę domu mego okiennice błyskom szerokiego świata. Dość mój dom pojemny, aby wszystkie światła tego błyski wchłonać w siebie i błysków dość mam tutaj, iżbym miał szukać błysków światów nieznanych.

Obcy promień jeden mury domu mego rozszadza — krocie zasięg błysków mego świata rozkoszą wypełniają dom mój, woń życia w domu moim niosą. A kiedy obcość taka rozsiadła się w domu moim i obcości nasienie plenić się jeło, nie stało miejsca dla mnie, nie stało! Przeto porzuciłem ciasnotę tego domu i na szeroki świat wybiegłem i pełną światła piersią odetchnąłem. Błogosławię, domie porzucony i żeś wypchnął mnie z wnętrzości swoich, błogosławię, świecie mój, i żeś wchłonał mnie w wnętrzości swoje. Iż wszystką rozkosz udzieliłeś mi, iż wszystką pamięć odebrałeś mi, iż wielką radość z życia pobrzęku dałeś duszy mej, iż myśl o końcu odebrałeś duszy mej, iż chwilą żyć nauczyłeś mnie — przeto błogosławię ci, o świecie mój i czcić nie będę innych nad ciebie, o wielki, wielki świecie mój!

Pijany szedł ulicą... tańczył pełnem życiem, szumiącym jak potok wina gorącym życiem. Woń rozkoszna upajała nozdrza łakome, a brzęk przelewającego się złota muzyką był nieustającą uszu jego.

Skrzyły się w oczach miliony djamentów, turkusów, opali, muśliny i jedwabie snuły się niby sen rajski otulając kararyjskie dziewcząt ciała, albo odslaniając je różane, jako kwiaty po świetle rozsiane.

Pijany szedł ulicą.

Latarnie kłoniły jasne głowy swe, gdy przechodził, a mnogość ich odległa wabiła, kuśiła, pociągała.

Nie oparł się.

Pijany szedł ulicą w stronę żarzących się pełną luną światł mnogich.

Rozpustna muzyka szła od domów tych.

Pijany stanął w pośrodku przejasnych, grających domów tych. W pośrodku stanął i wykrzykiwać jął pełną piersią, a najpiękniejszą i najmłodszą przyzywał dziewczę, mieszkankę domów tych.

Taneczne wybiegły dziewczęta, jako kwiaty wysypane z straganiarskiego kosza; wonią swą odurzyły go, osłepiły urodą. Jednej pożałował tylko, jako połocono światu jego porządkiem; jednej pożałował. Pijanem okiem najpoważniejszej szukał i najświeższej.

Dziecię upatrzył sobie w płasającym dziewcząt gronie.

Ku sobie pociągnął, do domu wziął; zlekniome dziecko do domu wziął.

Nieumianami pieszczoty dziewczęcia sycił się pijany szczęściem swego życia, a wśród rozigranej rozkoszy sztydzącą puszczał raketę minionemu życiu na pochybel, a na uciechę chwil.

Nie wiele lat minęło, odkąd dawny dom porzucił. Nie wiele lat — a przecież wieczna rozkoszy gonitwa zatarła już była wszystką domu porzuconego ciszę, wszystką błogość wspólnego z niewiastą poślubioną życia.

Co ongiś najpiękniejszym duszy jego było wzruszeniem, w wspomnieniu pozostało jako drętki osad na dnie rozbujanego na nowo życia. I nie tęsknił nigdy do porzuconego domu; myślał nawet nie wspominał nigdy uwielbianej kobiety. Zły szept jakowś nieznany, tylko niekiedy pamięć dziecięcia przywrócił na chwilę wśród niespokojności snu, w którym przeżywał dalek ostatnich dni rozkosze.

Teraz oto przesytem nocy zmęczony zasnął nad ranem snem głębokim.

Dzień był już jasny, kiedy mętne otworzył oczy i w pół-przutomnym powiedział wzrokiem po sypialni. Spojrzał po pościeli, spojrzął dookoła łóżka. Na ziemi rozrzucona w nieładzie leżała odzież dziewczęcia. Jej zrazu nie widział.

Porwał się nagle i siadł na łóżku, oczy przecierając.

Spojrzał przed się. W kącie oto sypialni, do ściany przytulone ujrzał dziewczę, z chłodu, czy z lęku drzące dziewczę, przyciskające do współobnażonej piersi niedbale przewieszoną koszulinę. Rumiane dziecka wargi płaczem drgały, a wielkie zielone czy bуре oczy, łez pełne, z przerażeniem w jego spoglądały stronę.

Patrzył w dziewczynę jak w zjawisko. Myśli zebrać chciał — daremny wysilek. Nagle w piersi skurcz uczuł straszliwy, nagle głośne złamanie w duszy usłyszał, rzęsiste, jak wielki groch, posypały się krople łez z oczu jego.

Po latach wielu pierwsze krople łez.

Zawałoć chciał, ale bolesny gardła skurcz głosu wydobyć nie zezwolił.

Wyjęknąć zdołał tylko zapomniane, kiedyś ukochane dziecka imię.

Jęknął — imienia drogiego już powtórzyć nie umiał, drogiego, zapomnianego imienia dziecka.

Rzucił się na wznak i głośno jął szlochać i tylko zdawało mu się, że słyszy, jako dziecię suknie swe zbiera i jako po chwili spłoszone na ulicę wybiega.

Zdrętwiały leżał na wznak, bez ruchu dziec cały.

Mrok już był w sypialni, kiedy szeroko otworzył oczy i w sufitu biel się zapatrzył.

Stężyły poczuł mózg w czaszce i tylko w stęzeniu tam raz wraz wyczuwał drgnienie słabe, drgnienie żywe ledwie. W łzawych oczach cień zmarłej ujrzał żony i wielką pustkę, a w pustce tej — zbłąkane dziecię jego — zbłąkane na ulicy dziecię jego, rządy pospółstwa oddane dziecię jego i rządy jego własnej usłużne dziecię jego...

Pustka.

Strasliwa, ciemna pustka, a w niej osiadła Nędza, ta Nędza, która jeno przez jamy oczne człowieka na świat ciemny wyziera — straszliwie, cicho, zimno... i jeno warg bolesne skrzywienie chudemi palcami znaczy, a raz wraz dreszczem potrąca znikane ciało.

Tężeje mózg w czaszce człowieka, w zbłąkanej myśli duch błąka się. Błąka się Duch kazirodczy — tajemnica przeto jego jest.

Ciemniejsza nad inne stąpiła noc na miasto uśpione. Cichy upiórów niepokój tłukł się gdzieś po ulicach i zaułkach.

Cień od nocy czarniejszy przesunął się tu i tam; od nocy czarniejszy cień.

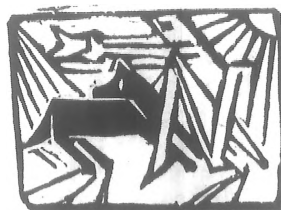
Zaskomlał upiór któryś i tłukł się gdzieś po ulicach miasta i zaułkach.

Przesunął się cicho cień i zaskomlał.

Mknął cicho bury pies po wilgotnych ulicy kamieniach — mknął skulony pies, w ulicach miasta zbłąkany pies.

Konający na bruku człowiek ostatnie w piersi swej odczuł skomlenie, czuł w sobie wieczne psa zbłąkanie.

II.



iedoznawany uczucia wstrząs szarpnął nagle wątłą dziewczęcia pierśią oslonioną w pospiesznym nieładzie przed mroźnego poranka swawolą koszulę nieledwie.

Nie zdzierzył mróz jesienny rozpalenia piersi wezbranej, ni warg spieczenia, ni tempa pulsujących skroni.

Żyje jeszcze w pierwszym swym ruchu fala nagłego przeżycia, bólu i rozkoszy, szalu i obrzydzenia.

Rozpiera wnętrze ścieśniony bunt. Rozrywa serca tankę szarpający chaos. Z lęku nieświadomości zrodzony ogień resztki stężejącej krwi z żył wylizuje łakomie.

Życia przecucie... Życia może już nieodwołalna świadomość.

Jakoż to dzieje się, iż nieświadomości owocem rozkosze dziecięce są? Jakoż to dzieje się, iż ciała oddanie raz igrą jest niewinną i w ustawiczności swej dziecięctwa nie zatracą — aż nagle ohydą jest, upadkiem?...

On!

Ach!

Z upodobaniem niedoznanym jeszcze szła za nim, pijanej sile jego poddała się z rozkoszą.

Czyli rozkoszy doznanie świadomości dało ohydę? Przypomniała nauki z lat niedawnych.

Grzechu, świadomość? Spóźniona grzechu świadomość.

Nie! Nie to szarpie, nie to pali, nie to, nie to!

... Przebudzone z pijanego snu oczy jego...

Oczy te przypominane, pijane oczy, które nagle oświeiliły wszystką dziecką przeszłość, lubą przeszłość zginioną...

Oczy te straszliwe, ślepiom psa podobne...
I ostatnie słowa te, ledwie zrozumiane, dziwne słowa
te, skomlenu psa podobne...

Ulicami miasta bieгло dziewczę strwożone wśród
mroźnego poddmuchu jesiennego wiatru.

Oczy! Oczy tel
Słowa! Słowa tel!

Dziewczę uchodziło przed pogonią oczu i przed
słów natręctwem, jako spłoszona sarna w kniei przed
następującym hyżo ogarów skowytom.

Dziewczę domu dopadło.

W izdebce bezsilne zważyło się na posłanie i
trwało tak przez godziny całe bez czucia i bez świadomości bólem pełne i obcą goryczą.

W bezczuciu tem bunt leże się.

Chwilową otoczona pieśczętą za powab młodego ciała i kragłych srebrników brzękiem, co dach nad głową dają w dzień i ciepłą strawę i niezbędną przyrodziewek...

Chwilową darzona cikliwością licznych przechodniów, świata zasię całego wzgardą. Świat wszelako mniej waży niżli porzucony, zbędny papieru skrawek; ale ten ból, co wlecze się śladem jej i wiecznym przypomnieniem jest jakoweś winy nieznaney!

Ten wieczny ból!...

I czemuż tak jest?

Czemu właśnie na nią padł czarnego losu cień, że na wargach zakwitać jeno zdolny przymuszony uśmiechu grymas — pozatem nieustający duszy szloch przepelnia zmysły wszystkie? I oto na wewnętrzny, utajony płacz ten położył ciężką swą rękę upiór, z przypomnienia bladego znany, sztraszliwy jakąś niepojętą bliskością, jakimś krwi i istoty wewnętrznej powinowactwem.

Straszliwego psa postać wydała się dziewczynie w tej chwili katem — wykonawcą nieubłaganego, bożego wyroku.

Za co?... Czy to, że matka była jej tylko dzieciństwa wspomnieniem? czy to, że los zabrał jej dom, gdy jeszcze była dziećciem, czy to, że ulica jedyna przygarnęła ją i z nieświadomości uczyniła życie?

Płatały się już myśli w zmęczonym mózgu i dobroczynny sen zwolna słał spokojności chwil niewiele.

W tem szarpnięcie nagle.

Przerwany brutalnie kojący sen.

Gniewna twarz kobiety starej.

Brwi wypłowiałych groźne ściągnięcie i wstrętny grymas złych ust.

Potok miotanych przekleństw, twardość żądań i groźb niemilosierność.

Dziewczę nie rozeznało starej chlebodawczyni, ani rozumiało gniewu jej. Szerokimi oczami patrzyło w twarz srogiej kobiety, jakoby coś sobie uprzytomnić chciało koniecznie; daremny trud.

Gwałtownym tedy szarpnięciem ramię neliotnie ściągnęło dziewczynę z posłania i na ziemię powaliło.

— Pieniądz! krzyczała stara ochryple, gdzie pieniądze, psie nasienie ty?!

— Nie mam dziś pieniędzy, nie mam... — jęczało dziewczę ledwo dosłyszalnie, gdy wreszcie pochwycić zdołało groźne słowa gospodyni.

— Cóżś robiła noc całą, do białego rana, wszetecznic! Gdzie pieniądze tej nocy?

— Nie wzięłam.

— Łiesz, złodziejko! Daj pieniądze, inaczej czaszkę rozłupię!

Dalszych słów dziewczę nie słyszało więcej. Dotkliwy ból w skroni uczuło nagle i w mrok jakiś zdało się zapadać.

O zmroku chłód przenikliwy wrócił dziewczynie cień świadomości.

Spojrzała dokoła. Ulica, czarna, wilgotna ulica.

Tam mętne błyska światło... dalej drugie, trzecie.

Cisza. Wielka trwoga.

Skostniałe ręce pierś zziębniętą w podartą chustę otulać jęły, a drzące wargi zdaly się szeptać przypominane wyrazy dziecięcych pacierzy.

Opuszczenia tęskne uczucie przywraca pamięć modlitwy i jawę daje rzeczywistości minionej.

Matko! — bezwolnie szepcą zsiniałe wargi. Potem cały korowód niedalekich wspomnień...

Przytulił się zapragnęło dziewczę i oto przyciska zbolałą głowę do twardego, szorstkiego muru i nawet z tego dotyku wyczuło dawną lubość rodzicielskiego domu i dawne ciepło — dziecięcego życia sen...

— Ojciec! — szepnęły wargi zimne...

Dreszcz przeszedł przez ciało dziewczęcia, że w dreszczu tym zdało się tężeć i trwało tak w bezruchu jako w bezruchu trwa czarna ulica ta.

Zupełnego opuszczenia straszliwa przytomność mrozem resztę cieplej krwi ziębi; nawykniene zasię — przystań ta ostateczna — i ona odmówiła kojącej dłoni przyłożenia, nawet ono opuściło samotnicę. Tylko wiatr jesienny przytulił i tylko niekiedy padał na zbolałą głowę liść zważony szronem — zagasającej nadziei zwiastun w swej żółtości rdzawej i w swem opadaniu smętnem.

Zapomniany, przedwczesną jesienią zważony liść...

To szarpnie złośliwie wiatr listopadowy, to uniesie i rzuci w kąt zełku i zmiecie w ściek, to przydepnie przechodzeń albo zamiatacz ciśnie do śmietnika...

... Oto bezdomnych los, oto cel askezy...

Zła jest ulica, zimna a nieustępliwa w srogości swej. Poza nią przecież inna jest, dalej jeszcze inna... wszystkie jednakże złe są, gdy zapomniany jest już liść jesienny. A pod ulicą ziemia jest, czarna, smutna ziemia; ale nijak się wgrzebać w ziemię poprzez kamień zwartość.

Nad ulicą jeszcze niebo jest; szerokie pono i dalekie niebo, bo (mówią) radością jest życia i życia jasnością. A jednak niebo skrawkiem tylko jest, otoczonym i ścieśnionym gzymsami domów i krawędziami dachów nikłym skrawkiem. Nawet gwiazda się nie mieści tam, ani błądź miesiąc a nie zlagodzi wieczoru jesiennego czarność ponurej.

Łekliwego promienia wracające uczucie drga przecież gdzieś w ciemności tej — albo może nadziejnego tylko złudzenia?

Nigdy nie zaznana tęsknota...

Nowego, nieznanego życia blady promyk — albo może nadziejnego tylko złudzenia?

Przecież gdzieś podobne drgnienie jest — może drgnienie minione, ale w duszy żywe przecież!

Jest! Jest, kiedy jest wiara. A wiara jest, gdy jest tęsknota. Tęsknota zaś jest, gdy jest ból — a ból jest! straszliwy życia ból...

... Ty, który ponad wszelaką ciemnią jesiennego nieba królujesz jasnościami, Ty w bólu zapomniany, u którego stworzenie wszelkie litości żebra, gdy wszędy litości Twej zaznaje — Ty miłosierdzia dziś nie zyskaj, iż twardej doli ulicznicy nie czujesz w sobie. Niechaj częściej sina głowa, ziemskiej trwogi pełna i rozpaczą przesycona. Krew zastężyła niechaj zmiłowania Twojego nie sięga, albowiem krwi nie czujesz w świętym Łonie swoim. Jakoż więc jest ból, gdy Ty, Boże, bólu tego nie czujesz w sobie, iż z nędzy ciała zrodzon jest?

Jak tedy wszystko stworzenie Twoje odeszło, jak odeszła matka i odszedł rodzic, który powrócił, aby dać świadomość nędzy — tako od bólu tego odejdź i Ty, miłosierny Panie, który jeno „Duchy naze, w sobie bolące“ czujesz.

Tak tedy opuszczenie jest zupełne i zupełna samotność.

Oto sąd boży, nieubłagana dokonanego czynu konieczność...

W upadku doskonałości pierwsze promienie, rozwiązanie powróciła stężalego bólu, rozsypanie ździebeł przelicznych rozpaczy w bezczucia nieokreśloność, w martwość nagłego duszy uszczęśliwienia.

... Kłamlliwość — że to mgieł nocnych, co snują się bez celu po ulicach miasta? nocnej-że to ciszy omama?

Znów na zimne czoło opadły liść zwiędły zdrętwiałemu ciału słabe dał przypomnienie życia. Dziewczę szeroko oczy rozwarło i w mgły uliczne długo patrzyło, jakoby tam spodziewało się ujrzeć własnych źrenic odbicia.

Mgła kładła się leniwie po bruku zimnym — zwarta, prostolinijna w nizinie, wyżej w fale łagodne ukladna, jeszcze zaś wyżej w fantastyczne strzępiona linie i zakręty.

Utonął tam dziewczyny wzrok.

Nieuporządkowane, natrętnie przyskakujące myśli nagle rozsypały się gdzieś po ulicy, gdy doleciał odgłos kroków po kamiennym chodniku.

Dziewczyna w kąt jaki usunąć się chciała, albo do muru przycisnąć bardziej, iżby niepostrzeżony przez przechodnia był los jej.

Zapóźno.

Szła ulicą starsza rzemiosła towarzysząca, mieszkanka wspólnego domu. Stała i wpatrywała się przez chwilę w skuloną pod murem dziewczynę; poznała:

Wyżes to? — zawołała przerażona: Ty? oto na mokrej leżysz ulicy, w noc zimną, porzucona, wygnana! Wygnała cię stara z domu! A bo też oddaj wzięte pieniądze. Cóż poczniesz sama, co? ... Także leżysz tu godzin tyle? ... A może pijana leżysz? Porzucił cię niewierny kochanek może? Pójdź, mała, znajdź ci innego, znajdę...

Odszarpnie się dziewczę, a przytuli do zimnego muru.

— Głupia jesteś — mówi tamta, — głupia, bo młoda. I ja tak — bywało — dawniej myślałam, a dąsałam się. Tak życie czasem przytłoczy. Nie poddawać się przecież — a uciechy w życiu dość. Łakomców, co na krasę dziewczki chciwe, dość; i pieniądze dość. Jenó głupią nie bądź, pójdź...

Nieswojęm głosem odrzekło dziewczę:

— Krasa moja niczyja jest. Ostaw mnie, sama idę — tam czekają mnie.

— Gdzie? Kto cię czeka?

— Nie wiem, ale wiem, że czekają mnie.

— Pijana jesteś?

— Pijana! nagleś przejrzeniem pijana.

— Nie pójdiesz więc?

— Nie.

— Na zimnie останiesz tak?

— Ostanę.

— Co poczniesz?

— Czekać będę.

— Czekać za czem, za kim? Tu nie przyjdzie żaden, który cię zechce.

— Czekać za przyjściem tych, którzy mnie czekają. Ty tego nie zrozumiesz. Idź swoją drogą; spiesz, mija noc, spiesz, iżbyś dużo pieniędzy do domu przyniosła, aby ci się został dach nad głową.

— Nie pójdziesz więc? — troska się towarzysza.

— Nie pójdę.

— To leż tak aż do rana, bądź zdrowa — zawołała szorstko i spieszenie odeszła.

— Do rana! do rana! westchnęło dziewczę i zdało się, że promyk nieświadomej nadziei w duszę się zakrada.

Mijały chwile ciemne, zimne.

Znów trwoga ją szarpać ciałem skostniałem. Twardość muru odpychała. Dziewczę zerwało się nagle; biedz chciało ku onym zwojom zbawczej mgły, które znów dziwne kręgi zataczać ją dokola, iżby na zwojów tych grzbietach poniosła ją mgła nocna daleko, w zapomnienie, albo w odszukanie tęsknot zginionych.

Porwała się sił ostatkiem, lecz w tejsze chwile wzięła jej ciało znów padło na łono zimnego bruku.

Ktoś z daleka — może przechodzień spóźniony, może stróż nocny — posłyszał łoskot głuchy i przytłumione z piersi westchnienie — jęk nocy. Posłyszał i — poszedł.

Przez ciemność i przez mgłę szedł jęk, niby głos bólu podziemny i rodził kształty do widzianych niepodobne. Sunęły podłużne cienie, linjom mgieł przyłożone.

Od nocy czarniejsze cienie bestyj mknęły w zbieg, wielkiej masie — wszystkie sobie podobne, wszystkie w jednym kierunku. Czarne psy to były — czarne psy. Mnogość ich wielka noc uczyniła czarniejszą jeszcze, że dogasły ostatnie światła.

Snuł się korowód cichy, żałobny — długi sznur Zwierzęctwa. A pośród czarnej masy skulonych psów wędrownych człowiek szedł; niby olbrzym nad czarnymi psów pochodem szedł.

Zbliżał się ku dziewczynie cichy człowieka cień. Pierzchył gdzieś cienie psów niezliczone.

Ostał człowiek jeden, a na smyczy wiódł psa wielkiego.

Pies rwał się, obroża zasię gardliła go, iż przy panu pozostać miał.

Wielkie dziewczęcia oczy świeciły w ciemności. Ku światłom tym szedł człowiek wiodący psa na smyczy.

Przystąpił.

Kojąc dłoń na zimnem dziewczyny złożył czoło:

— Błogosławić — rzekł cicho, — iż jasność czynią oczy twoje wśród powszechnej nocy. Odpowiedzieć nie zdołało już dziewczę z sił wyczerpania i z skostnienia. Tylko wargi lekko poruszyły się w dziękczynieniu. Mówił dalej człowiek, trzymający psa na smyczy:

— Bezdolnych dzielisz los? Mówię zaś, iż błogosławion jest wyzbyty domu, który sam jeden ostał, aby czynić światło wśród powszechnej nocy.

Jak kwiaty z nieba spadały słowa te na dziewczynę skuloną pod murem, że ciepło wstępowało z wolna w dziecięce nieledwie jej ciało. Ale jeszcze lęk niecił pies dyszący, na uwięzi trzymany, a rwący się w tę stronę, kędy znikł psów korowód. Ciepło słów człowieka wszelako silniejsze było, niżli psa straszliwość.

Dziewczyna cicho wyszeptala:

— Błogosławiących niegodna rąk, ani słów waszych.

Człowiek zasię spytał:

— Kim jesteś, dziewczę zbłąkane?

— Ulicy córą, jako widzicie.

Rzekł człowiek łagodnie:

— Błogosławione niech będą córy ulicy, gdy światło czynią w noc ciemną, jako ty. Pójdź za mną.

Dziewczę do muru przytuliło się gwałtownie:

— Ostanę tu.

— Pójdź za mną, w imię światła, które czynisz w noc czarną.

— Każdej nocy tak mawiali do mnie przechodnie — mówiła zdławionym głosem, — każdej nocy... Szłam z nimi, bo na to byłam tu, na ulicy... dzisiaj przecież na to już nie jestem.

Rzekł człowiek powtórnie:

— W imię światła, które czynisz w noc czarną mówię: pójdź za mną.

— W imię mych oczu tak mawiali inni...

Rzekł człowiek z naciskiem:

— W imię nieświadomego w tobie światła, które niecisz, mówię, pójdziesz ze mną, iżbyś ulicy nie była usługą ani jej poniewierką.

A zasię mówię, iżś nie poznała jeszcze stworzenia, z którego się wywodzisz, a które na cię przez życie nastaje.

Na wzgórze Poznania zawiodę cię; tam uwolniasz się odeń, lecz wprzód pójść musisz rodzica wiedziona wskazaniem, uwiecznionego przy mojem ramieniu rodzica twego. Tam poznasz rodzica swego i swego niszczyciela, który przez życie na cię nastawał.

Zbrakło ci, o córo, siły, by dźwignąć się z ulicy tej; wszelako mówię: mocy masz wiele, iżby pójść za mną.

Z zanadru wyjął człowiek srebrne naczynie i pić podał dziewczęciu. Spragnione wargi łakomie piły podane wino.

Przetarła oczy; w twarz człowieka spojrzała z dziękczynieniem a wpół uniósłszy się, dłoń jego całować ją a zraszać gorącemi łzami.

Pies szarpnął smyczą; dławiony obrozą, dysząc ciężko rwać się począł ku wylotowi ciemnej ulicy, a pociągając za sobą człowieka, pana swego, i zawisłą na ramieniu jego ulicy córę znaną.

Opuścili ulicę; miasto opuścili. Ledwie bosa dziewczyna stopa miękką wyczuła ziemi a murawy wilgotnej puszystość, pierzchła gdzieś ulicy zmora. W teje też chwili miesiąca srebrzystość falą szeroką rozlała się po cienistym świecie — ciepłe zaś człowieka ramię przywróciło żywe w żyłach krwi krążenie.

Raz jeszcze z minionego życia przeleciał cień przez dziewczyny duszę; pytanie bezwiedne: żali do łoża wiedzie ją człowiek ten? żali miłością nową a wielką otoczy w straszną tę noc... póki świt nastanie, białego dnia straszliwość, nędzy nieodwołalna oczywistość?

Szarpnie się nagle dziewczę a wyrwie z obcych ramion:

— Puść mnie, człowieku nieznany! póki noc jeszcze, póki nie świt!

Nie odrzekł człowiek, jeno silnem przygarwał ramieniem; a pies na uwięzi pociągnął oboje w przestrzeń daleką, kędy nieznacznie rysowały się wzgórza na tle nieokreślonego barwą nieba.

Szli długo w milczeniu wielkiem.

Na szczycie wreszcie ponurego wzgórza stanął pies; stanął i człowiek, wpół przytomną dźwigając w ramieniu dziewczynę.

— Tu spocznem — rzekł. Miasto już daleko.

Po trzykroć okręcił powrótsło dookoła lewicy swojej; na ziemi płaszcz rozłożył. We troje na wzgórzu spoczęli.

Wielkie milczenie w srebrzystości miesięcznej nocy zakłęte...

W głuchą tę przestrzeń, tajemnic pełną, płynęły słowa człowiecze:

— Bólu pełne jest życie, ale pełnia ta ostateczność życia raz jeden tylko przenika.

Możliwszy nad życie, twórczy występuje Duch i zdźbłem Wieczności zapładnia duszę i Wieczności uczestniczą czyni ją.

Wtedy to pierwsza zstępuje iskra Poznania, odąta dusza z Zwierzęstwa wyzwolona a oddana jest Wieczności.

Z Bólu Poznania rodzi się...

Odpada naskórke po naskórku, pęka skorupa po skorupie.

W świętym dziewicy wstydzie nagość tchnienia bożego jawia się.

Pierwotność ujawniona jest i wszystkie duszy narastanie, iż bieg życia odsłonięty jest jako płynący jasny ptak przez białost dnia słonecznego...

W srebrzystej zasię dali usłyszany był głos pokutny, człowieczego głosu wtór:

— Czemu cierpienie trwa?

Utajona-ż w pozaprzestym bycie męki przyczyna? albo w duszach z duszą cierpiącą w jedno zespolonych zamknięte źródło złego? Czyli może cierpienia zdźbło w czynach niepoznanych i niewiadomych lęze się, iżby sprawiedliwości Doskonałego nadać grozy a straszliwości niepojętej?

Mściwy Boże! jakoż mi gniew Twój ułagodzić, iżbyś poniechał pościgu, który boskości Twojej uraga? Podnoszę bunt ofiarny!

Niemocnem dotąd ramieniem po część bóstwa Twego sięgam!

Tworzę!

Ja — duch sponiewierany, ujarzmiony w słabem kobiety ciełe — wzywam Cię, iżbyś z ciała tego mię wyzwolił, jako że uwięziony tak duch jeno urąganiem Ci jest, nie chwałą...

W cichym nocy poszumie gubili się słowa rozsiiane w srebrnej przestrzeni. To w skupieniu swem na chwilę zjawę poznania stwarzały, to znów rozpraszały się w chaosie.

Wtórwał zasię człowieka głos:

Bólu szczyt to, gdy buntiem sięga Prawd Doskonałego. Tworu załazek... duszy zapłodnienie.

Wszelako nikła jest ta moc w obliczu Wszehmocy.

Małość jej stawia bunt duszy a w proch zamierzenie rozsypuje i proch ten ściele pod święte Doskonałego stopy.

Mija błysk ducha; błysk ten przecież nie ginie, ale w nieskończoności wieczne pozostawia drgania.

Nowy przeto wieczności atom powołany został do życia ku wiecznemu przymnażaniu stawania się Nieba...

Ty oto twórczy Duchu, w najędniejszą nierządnicę cielesną postać zakłętą, ty przez świata nierządne prawo najbardziej wzgardzony twórczy Duchu — szczytom najwyższym przeznaczony jesteś, największej mocy męskiej będziesz dzierzycielem, najjaśniejszych Słońc wspólnym promieniem. Wprzód wszelako w ofierze nierządu poczęty Tworu załazek przez miljon słonecznych promieni przedierać się będzie, w miljonie ciał się objawi i miljon zniweczy globów zanim dosięże Ostateczności Doskonałej Poznania.

Wcielony w nierządnicę wzgardzoną, jednakiem ciałem zrodzoną i jednakiem zbezczeszczoną, jako że

Materia mści się za Materję — objaw się Duchu twórczym...

Iżbyś do dna wychylił podaną czarę, nie cofnąwszy się w pół drogi w jednym z mnogich wcieleń twoich, iżbyś oszczędził sobie zwierzęstwa a godnym się stał wcielenia w formę doskonalszą — objaw się w niej, Duchu twórczym...

Duszo nlerządna, rodzica splugawiona nasieniem, najpodlejszą znieważona ręką — dokonaj przemienienia twego, albowiem niedalekie jest nowe mieszkanie twoje...

Tak oto łączyły się słowa człowieka, który doskonałości skraju bliskość czuł z rozrzuconem w srebrnem przetworzu pogwarem dźwięków nieznanym. Przemiana zasię duszy dokonywała się w chwilach onych.

Święta nastała godzina jutrzni. Uroczystość rozlała się wielka i cisza była większa, niżli ucho zdolne sobie przyswoić.

Rzekł człowiek do dziewczyny, gdy pierwsze błysnęły promienie wschodzącego słońca:

— Oto twoje słońce.

— Moje słońce? — w półsennie pyta dziewczyna, w myśli swej ślady minione dźwigając jeszcze — Moje słońce? — pyta.

— Twoje słońce.

— Nie mam słońca... Zgasło mi, wcześniej zgasło.

— Iżś czyniła światło w noc ciemną, przeto twoje jest słońce, które po nocy wzeszło.

Milczenie.

— Po chwili długiej rzecze dziewczyna:

— Czemuście przywiedli mnie na wzgórze to?

— Na wzgórze Poznania — wyszepta człowiek zadumany.

— Miłości chcecie mej?

Milczy człowiek.

— Kupić chcecie mnie, iżbym okupiła znów nad głową dach? Nie chcę dachu, który od zniszczenia chroni ciało moje, ani domu tego chcę, ani chleba, ani szaty, ani krasy ciała, iżże dola moja przez dach ten, przez chleb ten i przez ciała krasę straszną jest.

Palcem na miasto wskaże człowiek:

— Krasa twoja ulicy jest własnością; tam oto poniewiera się na bruku. O krasie ciała nie mów człowiekowi, który cię wziął, albowiem wziął duszę duch człowieczy. Słońca brzask widziałś ty poraz pierwszy, twojego słońca brzask...

— Słońca brzask! powtórz dziewczę przecierając oczy i długo patrząc w jaśniejący cień człowieka.

Nagle jasność w dziewczęciu obliczu wielka zakwita:

— Tyżś to człowiek jest, który piastowałeś mnie, zanim poczęła mnie matka! Tyżś to, ty!

Do nóg jego przepadła i stopy kałuże w płaczu nagłej szczęśliwości.

Dłoń niewidzialną na głowę dziewczyny położył cień człowieczy a promienie słońca osnuły, jako że jasność ich słońcu była podobna.

Przez róż promieni płynął głos dziewczęcia:

— Jakoż zgasył oczy wasze skorom ujrzała świat, jakoż to wypuścili mnie wasze ramiona, iżem światu na pastwę oddana była, iżem przypomniała was?... Jakoż stało się, iżem wolną wolą własną szła a wy nie wstrzymali mnie silnym uściskiem ramion waszych?...

Głos cienia człowieka, niby lawa, spływał oto na duszę jej po promieniach różanego słońca:

— Zmylona była dusza życiem, iżże wolną się sądziła i od siebie zależną. A kiedy życia bieg kłamał duszy twojej żądał, straciłaś ślad promienia, na którym położyła cię Wszehmoc Doskonałego. I sądziłaś się Zwierzęctwu przeznaczone, albowiem tak chce kłamliwe świata prawo. Wszelako prawo Doskonałego promieniowi słońca oddało cię, iżś Pitriyanę przeżyła i w dopełnieniu doskonałości ofiarą była w formie wzgardzonej, na śmiecie ludzkie wygnana.

Wszelako mówiąc zaprawdę, iżże dusza ku ostatecznemu słońcu ośrodkowi spiesząca po linii promienia, wolną ma wolę w ramach drgania promiennego, które to poruszenie i wahanie zmniejsza się i słabnie w miarę zbliżania się ostatecznemu słońcu ośrodkowi. Maleje tedy wolna duszy wola przez przybliżanie się ku słońcu, aż wreszcie w świętym ośrodku jego, gdzie już promienie wszystkie zniewolone są, do drgnień i poruszeń niezdolne — to i wolnej ducha woli nie masz tam, jako że z Słońcem Duch zlany jest w ostatecznej jasności Poznania...

Już tylko cień własny, jaśniejący wraz z cieniem człowieka czuje dziewczę w złotych promieni żarze.

Wtem targnął się pies na uwięzi, a szarpiąc smyczą rwał się w stronę słońca wschodzącemu przeciwną. Zmącił spokojność dziewczęcej duszy.

— Lękam się zwierzęcia tego.

— Życia mętne wspomnienie — rzecze człowiek.

Pyta dalej dziewczę, niespokojne:

— Czemu psa wleczenie na smyczy?

— Zło jednej duszy trzymam na uwięzi... dla odszukania jednej, zginionej duszy. Pies oto ten, jako wyrwa się od nas przemocą, tako rwał się ku ulicy onej, kędy nieszczęsną odnalazłem cię — dziś zasię....

Z trwogą dziewczę zawoła:

— Lękam się psa tego i że w pamięci czuję go w sobie. Te same oczy widziałam w najstraszniejszej chwili życia... Uwolnicie mnie od psa tego; mnie powrozem przytwierdźcie do siebie, puśćcie psa tego, co rwie się ku miastu. Puśćcie go w imię wzeszłego słońca mojego, jako że na wzgórzu tem klątwę zwierzęstwa poznaję, jako że odeń wolna jestem.

Pies coraz gwałtowniej szarpał powróż a ku miastu się rwał, i nie łatwo strzymał go człowiek, aże ten przykleknął.

— Nie strzymam — wołał sił ostatkiem.

— Puśćcie go!

— Nie czas jeszcze. Nie pisane mi tej chwili od psa tego uwolnienie.

— Czas nadszedł — zawoła dziewczę. Niechaj jasnego promienia słońca, które mi weszło, nie przesłania czarność zwierzęcia tego, niechaj skomlenie jego nie mąci ciszy wzgórza tego. Puśćcie go!

I szarpnie dziewczę powrozem, aż wypuścił go człowiek z ręki. Pies zaś pomknął przed się, poprzez wzgórza i poprzez ziemi falistość — ku miastu pomknął pies, iżby błakał się po zaułkach ulicznych w każdą noc czarną.

Oto chwila najświętsza, gdy ostatni znika cień w obliczu wschodzącego słońca. Wtedy dusz dwojga jasność, jasności Słońca jedna jest.

KONIEC.



Rosunok — R. de la Freunay.

DO TYRSY

W. BLAKE

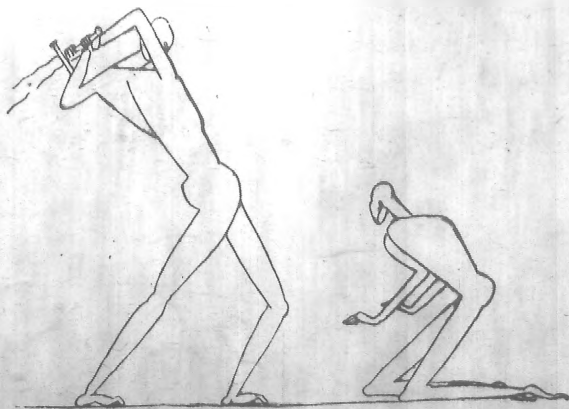
*Z śmiertelnych ziemi trzew poczęty płód
Napowrót musi znów się wmuścić w nie,
By wolnym powstał duch przez śmierć i ród —
Więc cóż nam z sobą, cóż tobie i mnie?*

*Z Pychy i Sromu płcie się dźwigiły łon:
Poranku kwiat — wieczorem kłat i proch —
Lecz Miłosierdzie w sen zmieniło skon —
Na znój się dźwigiły płcie i krwawy szloch.*

*A ty, o matko mych śmiertelnych zwłok,
Okrutnie-ś ty mi serce mięła, ach!
Gdyś w kłamnych, samo-oszukańczych łzach
Lepiła w niem me nozdrza, słuch i wzrok.*

*Język mi zwarłaś w gliny ciężkim śnie —
I tak na życiaś wydała mię łup!
Lecz śmierć Jezusa otwiera mój grób —
Więc cóż nam z sobą, cóż tobie i mnie?*

Spolszczył S. S.



Rysunek: Mahs Krause.



Рисунок: Ладислав Хомыч.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI
I „GENEZIS Z DUCHA“ (C. D.)

Dochodzimy teraz do syntezy ekspresjonizmu w nauce:

Niema przedziału między anorganiczną (martwą) a organiczną (żyjącą) naturą: wszystko, cokolwiek na powierzchni ziemi istnieje, kamień, skała, kryształ, ameba, protozoon, metazoon, czyli już zorganizowane życie komórkowe — wszystko to żyje, a żyć znaczy, być obdarzonym duchową siłą, która wszelaki kształt wybierze w kierunku dostosowania się do celu.

Niema granicy między tak zwanym światem roślinnym a zwierzęcym — niema wogóle żadnych rozgraniczeń, jest tylko jedna ciągłość Bytu, a Byt oznacza żyć mocą wewnętrznych duchowych sił: uczucie potrzeby i uświadomienie sobie teje — to uświadomienie na najwyższym szczeblu rozwoju, całkiem ślepe, jasno uświadomione — to tylko kwestje rozwoju świadomości od najniższych — nieświadomych prawie stanów, aż do jasnowidztwa — w o b r a ż e n i e sobie środków, któreby tę potrzebę spełnić mogły, a związane z tem w o b r a ż e n i e m pragnienie urzeczywistnienia potrzeby-tęsknoty, czyli wola, skierowana by „myśl ciałem się stała“ (pojęcie logosu, które się w ciało przeobraża), a w końcu ostateczna synteza: rozpoznanie - intelekt, który jest twórcą dostosowania bezpośredniego i zarazem spożytkowania ¹⁾ w wszystkich okolicznościach, jakkolwiek się zmienia, tych raz już nabytych dostosowań.

Jeden słowem:

Wszystko, co istnieje, przez ducha stworzone jest.

Generatio aequivoca, czyli spontanea, powstanie organicznego z nieorganicznego jest absurdem.

„Martwa materia, mówi Pauly, byłaby taką, której reakcje nie zdradzałyby najmniejszego wewnętrznego współudziału.“ A na ten brak wewnętrznego współdziałania nigdzie w anorganiczej materji się nie napotyka, jest on przeciwnie tak widoczny, że rosyjski fizyk Chwolson porównuje go bez wszystkiego z dostosowaniem się organicznej materji.

Musimy zatem pojęcie życia zredukować do możliwości reakcji, która w miarę, na jakim stopniu

rozwoju ciało jakoweś stoi, coraz więcej się upoje-
dyńcza i wreszcie nieomal dostrzegalnem się staje — ale jest!

W każdym razie wyzbywamy się dla materializmu tak wygodnego pojęcia martwej materji, z jakiej przecież niemożliwe, by jakieś życie powstać mogło.

Ta nieunikniona i bezwzględnie konieczna konsekwencja Lamarckizmu, której Lamarck sam nie odważył się wyciągnąć, a którą Slowacki mocą swego jasnowidzenia i odwagi wyciągnął, to Hylozoizm — absolutne uduchowanie materji wogóle.

I niedaleka przyszłość, kiedy ludzkość będzie w stanie zrozumieć, że każdy molekuł chemiczny, każdy atom żyje mocą przyrodzonej potęgi, że H₂O tak samo podlega prawom psychicznym Pflügera: uczucia potrzeby i pragnienie zadowolenia teje, jak „żyjąca“ komórka drobnostroju — zrozumie, że prąd elektryczny tak samo jest „uduchowiony“, jak pierwszy lepszy proces nerwowej komórki — że każdy chemiczny proces odbywa się według tego samego prawa, mocą którego życie organiczne się rozwija — czyli, jak Slowacki mówi:

„Pod tem jedynem prawem zakłęte pracują słońca, gwiazdy i księżyc“.

2. ENTELECHIZM.

Zanim przejdę do właściwej nauki Slowackiego, muszę koniecznie potrącić o najnowszą teorię biologiczną: naukę o tak zwanych „dominantach“ profesora Johannes Reinke, uzupełnionej przez Edwarda Hartmana przez naukę wyższych sił (Oberkräfte).

Reinke¹⁾ rozumuje w ten sposób: „Wszystkie nasze maszyny pracują siłami z drugiej ręki“ (Lotze stworzył ten termin) — siłami, które są zmuszone do pewnej, z góry już uregulowanej czynności przez „pierwszą rękę — intelekt-człowieka“. I w organizmie nie trudno nam spostrzedz te siły z drugiej ręki, które są do czynności zmuszone. Te siły „z drugiej ręki“ (aus zweiter Hand) nazwał Reinke „Dominantami“.

Trzeba je rozróżnić od „energji“ samej, bo mogą energją kierować, przetwarzać, skoncentrować, rozdzielać, regulować, ale nigdy nie są w stanie przeistoczyć się na energję.

W Dominancie urzeczywistnia się pierwiastek, pierwiastkowi energii przeciwległy: pierwiastek kierunku.

Energja jest miarą dla natężenia ruchu w organizmie. Dominanta określa kierunek tego ruchu.

¹⁾ Jeżeli zatem myślı w zmienionych okolicznościach stworzy sobie gęstsze futro, to może już dalej wędrować i odpowiednio do zmienionych warunków zużytkować.

¹⁾ Johannes Reinke: Einleitung in die theoretische Biologie, Berlin 1901

Dominanta nie spełnia żadnej mechanicznej pracy, wskazuje jej tylko drogę, którą ma pójść, ale z tą stanowczą koniecznością, z jaką niezłomna wola sternika wyznacza drogę dla okrętu i kierunek, w którym płynąć może — *coûte que coûte*

Dominanty zmuszają w roślinie atomy tak zwanych anorganicznych związków łączyć się w węglowodany (Kohlenhydrate) i w białka — energie można porównać z siłą, która porusza miechy organowe, dominanty — za organistów.

Dominanty są zasadniczą właściwością protoplazmy, którą protoplazma przez dziedzictwo otrzymała i następnej generacji w dziedzictwie przekazuje. Dominanty rozwijają się jedynie wewnątrz organizmu i znikają razem z nim — całkiem można je identyfikować z naszym pojęciem duszy.

Dusza istnieje tak długo, jak ciało, a raczej organizm istnieje. Z śmiercią organizmu — umiera dusza, to znaczy, że nieśmiertelnym jest tylko Duch, ogół dominant który stworzył duszę obdarzoną materją.

Duchowi, stworzycielowi podlegają psychiczne, świadomością obdarzone dominanty; a dzieli je Reinke zarówno z Hartmannem na robotnicze i na kształtujące dominanty (Hartmann zowie je „Oberkräfte“). Robotnicze dominanty odpowiadają maszynowemu warunkom, stworzonym przez rękę ludzką, kształtujące dominanty świadome ręce, która maszynę stworzyła.

Te kształtujące dominanty są twórcami tak form roślinnych, jak i zwierzęcych.

„Dominanty kształtujące warunkują założenie zarodka i kierują jego rozwojem, a również oddziałują na gotowe już narządy organizmu, zarówno w kierunku podtrzymującym tenże, jak i w procesach regeneracyjnych, które narządy te przypadkowo okaleczone odradza.

Dominanty, to znaczy dusza, są więc niejako organami ducha, żyją, jak długo w materji działają, umierają z nią razem — nieśmiertelnym pozostaje Duch w przekazywaniu dziedzictwem, (Vererbung) jako mne, która to mne w przyszłym pokoleniu nowe i świeże dominanty rozwija, odpowiednie do nowych warunków, w jakim ciało się znajduje, w którym Duch-mne się na nowo porodził.

Ponieważ zaś do celu sposobny (zweckmässig) organizm tak się zachowuje, jakoby rozporządzał ogromnym zasobem inteligencji, a definicją dominant jest właśnie to, że są twórcami teleologii, więc można dominanty bez wszystkiego nazwać „inteligentnymi siłami“. A inteligencja, jest to możliwości postępowania i działania odpowiedniego celowi.

Tu zaś biologia żeni się z filozofją, wkracza w obręb filozofji przyrodniczej¹⁾ i łączy się ściśle z nauką Schopenhauera o „woli“ i „ideach“, jako szezeblach obiektywacji „woli“.

Schopenhauer uczy: wola jest bodźcem (Das Treibende) w naturze, wola działa nawet i beświałomnie, a więc na ślepo. Reinke przeciwstawia zasadzie energii zasadę przemiany energii w pewnym kierunku, energii jako siłę przeciwstawia dominanty, jako ponadenergetyczne, nieświadomo-inteligentne siły.

Wola u Schopenhauera wytwarza do ce'u sposobne (zweckmässig) narządy — narządy te, jak wogóle cały kształt zwierzęcy są jej wyrazem — prostem ukształtowaniem jednego raz na zawsze dokonanego objawu woli.

Reinke twierdzi: Prawo dostosowania się jest wyrazem objawu czynności dominantów, a właśnie bezpośrednio dostosowujące się siły są dominantami.

Schopenhauer upatruje przyczynę harmonijnego dostosowania się i współdziałania wszystkich części organizmu w tem, że organizm przedstawia jeden jednolity akt woli. — Reinke twierdzi, że naczelne dominanty (Generaldominanten) kształtują cały rozwój formy, a w ontogenji (rozwoju jednostki) rozkładają się na cały uporządkowany system dominant, każda z nich z władztwem nad poszczególnym okręgiem.

Pomiędzy kształtującymi dominantami Reinkego, a nauką o ideach, jak prototypach objawów woli zachodzi specjalne pokrewieństwo, kształtujące dominanty tworzą formy roślinne i zwierzęce; ich wpływ decyduje rozwój ontogeniczny (rozwój jednostki), jak również phylogeniczny (rozwój gatunkowy) dominanty są prawami rozwoju formy, niejako prawniki, według których indywidua poszczególne ukształtować się muszą.

Schopenhauer mówi:

Wola zdąza ku coraz wyższej i doskonalszej obiektywacji (ucieleśnieniu się). Reinke: naczelne dominanty kierują rozwój gatunku.

Pokrewieństwo nauki w dominantach z platończą nauką o ideach jaskrawiej jeszcze przedstawia się w przejętej od Reinke'go nauce Hartmanna o naczelnich siłach (Oberkräfte-Generaldominanten).

Te naczelne siły, które Hartmann przypisuje każdej komórce, każdej jednostce, gatunkowi, wszystkim królestwom przyrody, globom niebieskim, a w końcu całemu „Wszech“ (Universum) są prawie identyczne z „ideami“.

¹⁾ Eduard v. Hartmann: „Grundriss der Naturphilosophie“. Bad Sachsa im Harz 1907.

Tak jak „idee” przedstawiają harmonijną i celową zstępną i progresywną hierarchję w różnorodności, to samo można i o dominantach powiedzieć.

Ztąd ta majestatyczna harmonja w budowie i w funkcji najmniejszego organizmu i w olbrzymim mechanizmie całego wszechświata.

Wprost niepojęte i zdumiewające w jakim stopniu nauka Słowackiego zgadza się z współczesnym naukowym ekspresjonizmem:

Każda indywidualna komórka, każda różniczkowana komórka w tkance, każde zrzeszenie się komórek w indywiduum, każdy gatunek, każde królestwo natury, każdy glob niebieski, cały wszechświat posiada organiczne naczelné dominanty i to w ten sposób, że każda naczelna siła (Oberkraft) wraz z przynależnym mu specjalnym okręgiem jest wcielona jako ogniwo w łańcuchu wyższego, rozleglejszego okręgu. A wszystkie razem są: „Glieder in der inneren Mannigfaltigkeit der organischen Oberkraft des Universums” — albo też absolutnej czynności absolutnego Ducha. Ztąd wynika dostosowanie się wzajemne i współdziałanie nieprzeliczonych części organizmu, dla tego to jasnowidztwo w instynkcie. Komórki służą organizmowi, jak organizm gatunkowi, gatunki organizacyjnemu postępowi wzywy poprzez królestwo roślinnych i zwierzęcych form; poprzez wszystkie ogniwa, ciała niebieskie aż do Absolutu.

Dominanty tworzą gmach widomy organicznego świata (Oberbau), którego fundamentem jest życie anorganiczne (Unterbau).

Tu brak tej konsekwencji, którą pociągnął Słowacki: Kształtujące dominanty (duchowie słowa) nie mają przedziału między organicznym, a anorganicznym. Nie ma „Oberbau” i „Unterbau”, tylko jedna ciągłość.

Wiecznie jedna i ta sama „powrotna fala”.

„Idee” Platona, wszystko jedno, czy są rzeczywiste, czy dopiero urzeczywistniają się w „entelechiach” Arystotelesa, czy też w „funkcjach”, tworzących w danych warunkach narzędzi Lamarcka, monady obdarzone mniej lub więcej jasną świadomością, a więc „nagie”, lub też „centralne” Leibniza, „objawy woli” Schopenhauera, czy też mniej lub więcej świadome dominanty Reinkego, Hartmanna, całkiem świadome duchy Słowa Słowackiego:

jedno i to samo!

Jedno tylko pytanie zachodzi:

Czy czynność objawiająca się w każdym żyjącym indywiduum — a do żyjących zalicza współczesna nauka i świat anorganiczny — czy ta czynność, wytwarzająca rozumną celowość, posługująca

się najodpowiedniejszymi środkami, sposobnymi do celu jest świadoma, czy też nieświadoma.

Dotarliśmy wreszcie do najwięcej tajemniczego problemu już nie tylko filozofii i psychologii, ale przede wszystkim biologii — do pojęcia świadomości, przyczyny i źródła wszelkiej celowości w naturze.

Kwestja pojęcia świadomości, to właśnie to fatalne pojęcie, poza które już dalej wyjść nie można.

Istnieje pojęcie „beźświadomego”, tkwiące jakoby w instynkcie, lub odruchu — wielkie pytanie, czy ten beźświadomy instynkt, lub odruch nie był już świadomy, zaczęł wskutek dziedzictwa stał się beźświadomym. Wszystko na to wskazuje, że każda odruchowa, czyli beźświadoma czynność powstała za pomocą długich, uciążliwych prób, a gdy już najodpowiedniejszy środek zastosowania się został wynaleziony, prawem dziedziczości dostał się w udziale jako odruch, lub instynkt następnej generacji.

Tu pozwalam sobie zwrócić uwagę na moje pojęcie „metasłowa”, tak przez bezduszny motłoch wyśmianego. Staram się tam wyjaśnić, w jaki sposób powstaje z uświadomionego słowa-uczucia, słowa-śpiewu, słowa-pragnienia, by wyrazić uświadomiony stan duszy, całkiem mechaniczne słowo, które jest niczem więcej, jak zdawkową monetą.

Całkiem taką samą tworzył ewolucję, przeżył każdy świadomy ruch, zanim się przez dziedziczość nie stał odruchem, czy też instynktem.

Niesłychanie ważne jest pojęcie: Podświadomego.

I tu ośmielam się zwrócić uwagę ludzi dobrej woli na moją naukę „nagiej duszy” — kiedyż wreszcie ktoś się nią na serio zajmie bez głupich, dziecinnych kpinek — teorię o absolutnej świadomości, której małą tylko cząstką żyjemy i która nam w biologicznym pojęciu wystarcza, by móc się do zewnętrznych warunków dostosować, a równocześnie, jako intelekt znaleźć odpowiednie środki, by móc celowo działać.

Naga Dusza jest Duchem Słowackiego, absolut świadomości — dusza zaś ogółem dominantów kierujących świadomym życiem.

Podświadomość, a nie: Nieświadomość jest tą najwyższą generalną dominantą Reinkego-Hartmanna, „ślepa wola” Schopenhauera (Schopenhauer nie zrozumiał, że „wola”, jako taka nie może być ślepa), bo jest objawem wszechwiedzącej, wszechmocnej woli Absolutu — ślepa jest tylko dla ślepego rozumu pięciu zmysłów — (może ich jest i więcej, ale mniejsza o to) i ta podświadomość —

to ten przeolbrzymi obszar, który dla głupiego mózgu istotnie jako pojęcie „mystyki“.

Rozwój ekspresjonizmu w nauce wkroczy niezadługo w ten mistyczny obręb podświadomości, w którym wkorzenione są wszystkie czynności i objawy woli świadome: marna pianka, którą ocean bezgłębny na wierzch wyrzuca, na razie doszła jednak nauka do tego, że bez pojęcia psychicznego czynnika, tworzącego celowość, czynnika odziedziczenia obyć się nie może, a tym czynnikiem jest świadomość, której osiłą jest Pamięć, bez której pojęcie dziedziczności jest prostym absurdem.

Wyjaśnienie pojęcia świadomości, jakim biologia operuje może być trojakiemu rodzaju:

Świadomość nie jest objawem samym dla siebie, tylko tak zwanym epifenomenem, zjawiskiem, towarzyszącym stale wszystkim fizjologicznym objawom. Świadomość to tylko odwrotna strona medalu, psychiczne wytłomaczenie fizjologicznego procesu, a więc zmiany protoplazmy w komórkach mózgowych. (Monizm).

Według innego zapatrywania jest świadomość specjalną formą energii. To zapatrywanie „ściśła nauka“ uważa za „metafizyczne“ i dla tego jeszcze dotychczas się go lęka.

Nie znaleziono jeszcze dowodów — i oczywiście ani ich znaleźć nie można i nigdy się na to nie znajdują, by energia zamieniła się w świadomość — na to trzeba przedewszystkiem gruntownej rewizji pojęcia „energii“.

Ale przecież u diabła: jeżeli świadomość nie jest stanem protoplazmy, jeżeli nie jest formą energii, to gdzieś wreszcie musi się w ciełe objawiać — a bez świadomości nieszczęsna nauka już teraz obyć się nie może — w jakiś sposób musi na materję działać.

To działanie może się tylko w ten sposób objawić, że gdzieśkolwiek w materji następuje przemiana energii.

I tak jesteśmy zmuszeni przyjąć hipotezę, że świadomość może jest siłą, która wywołuje przemianę energii, ale sama nie jest energią.¹⁾

Całkiem to samo, co Reinke mówi o dominantach, jeżeli je przeciwstawia energii.

Synteza wszelakiej nauki przyrodniczej — nawet bardzo ostrożnie ekspresjonistycznej wydaje się być zdanie jednego z najgłębszych biologów współczesnych, profesora Minota: Życie jest związane z materją. Objawy życiowe wydają się być zmianą żyjącej substancji, które tylko w ten sposób ująć możemy, że uważamy ją za przemianę energii. Świadomość nie da się mechanistycznie wyjaśnić, nie jest stanem protoplazmy, nie jest specjalną formą energii, tylko czemś, co jest samem dla siebie i co się z niczem, co znamy, porównać nie da, a co się w tem objawia, że wywołuje przemianę energii.

A więc ostateczny tryumf Ducha nad materją!

Teraz dopiero możemy swobodnie rozpatrzeć teorię ewolucyjną Słowackiego i tu od razu napotykamy na zdumiewający fakt, że „Genезis“ może być tylko rozpatrywana z punktu widzenia nam współczesnego, bo jego teoria wyprzedza jeszcze o kilkadziesiąt lat najśmielsze znane nam teorie filozofii przyrodniczej — a nie wątpię, że po pięćdziesięciu latach ogólnie uznana zostanie — tak jak wyprzedziła po siedemdziesięciu latach wyniki filozoficzne współczesnych badań.

Jasnowidztwo?

Och! jak ściśła nauka tego terminu się lęka! Maluczko, a będzie szukać podstawowych i zasadniczych prawd w tak zwanych „przesądach“ już nie średniowiecza, ale w istniejących, przez naukę dotąd wykpiwanych wierzeniach prostego ludu, u którego węzeł maciczny, łączący duszę człowieka z całym wszechświatem i jego najgłębszą tajemnicą Bytu jeszcze nie został przzerwany.

Maluczko, a astrologia, współbytowanie z „duchem“ (Swedenborg), telepatja przedewszystkiem, mocą której zjawiska życiowe mogą się dokonywać bez współudziału materialnych sił — stanie się nauką.

Na tej drodze, którą współczesna nauka obiera, by rozwiązać najgłębsze tajemnice Bytu, spotykamy Słowackiego już w 1842 roku!

Onorate altissimo poeta!

(C. D. N.)

¹⁾ Charles Sedgwick Minot, Professor der vergleichenden Anatomie in Boston: „Moderne Probleme der Biologie“. Jena 1913.

SPOTKANIE

JADWIGA LIPIŃSKA

Bije dwunasta
Z salonu, gdzie płomień świec się chyli
Skrzydłem wieczornych muskany motyli
jak tchnieniem zgonu
Na ogród płyną dźwięki przesileni i męki
która płomieniem wyrasta z oczekiwania.

Milczący cień się slania
cicho zstępuje na taras gdzie leżą
księżycą płaty
Niby z gwiazd padłe kwiaty.
O nie łam rąk... On blisko
i zjawi się tu zaraz, gdy szmer twojego kroku
posłysz
Skruty w cień ogrodowego mroku.

O spiesz się, spiesz się, spiesz
nim nowy wsłanie dzień
nim znów Pobojowisko
zapadnie w snu martwość.
O spiesz się, spiesz się, spiesz,
Hen w dali rumak rży.

Od świec gasnących pada promień zbłąkany, daleki
i w czarnych liści gęstwinę
iskry rozrzuca złote i drży
Ty wiesz o wszystkim, ty wiesz
Więc patrz.

Oto zamknięte powieki i usta jakieś sine
szepczące w twoje usta
jedno jedyne słowo!
„Zdrada!...“

Czemu w księżycu zieleni
zbladłaś jak chusta, i milcząc
przeczysz głową, i skrzyżowane ręce
na sercu ciśniesz w męce...

Wszak nic się już nie zmienia
i Mrok go wnet pochłonie
jak wizję swoją własną.....

W salonie

świece powoli gasną. —

WIELKI KRÓL

DRAMAT W 3 AKTACH

AMALJA HERTZÓWNA

(C. D.)

CZŁOWIEK I.: Ej, ty, czego w ludzi rzucaś, uważaj.

SERGJUSZ: Rzuca dokąd jej się podoba.

CZŁOWIEK I.: I ja też rzucać potrafię.

SERGJUSZ: Spróbuj!

CZŁOWIEK I.: Mordę ci rozbiję, manichejczyku bezwstydy.

CZŁOWIEK II.: Płakać nawet nie wolno?

Niech wyje, kiedy chce.

CZŁOWIEK III.: Póki bitwa była, w mysią dziurę się schowali, a teraz to ich pełno...

SERGJUSZ: Aha, prawda twoja.

CZŁOWIEK IV.: Sam wódz...

CZŁOWIEK III.: Ja też nie o wodzu, jeno o tych innych (wskazując prefekta). Gruby taki.

CZŁOWIEK II.: Prefekt praetorio.

CZŁOWIEK V.: Toś ty przyszedł łupy nam odbierać?

(Na te słowa niechętny pomruk tłumu przechodzi w wycie; kamień przelatuje, świszcząc koło głowy prefekta.)

PREFEKT: (Uchylając się od ciosu). Każ rozgonić ich, patrycjuszu.

BELIZAR (odwracając wzrok od pola, mówi powoli): Nie mam kim, oto moje wojsko.

EUDOXIA: Czy oni nam nie złego nie robią?

MATASWINTHA: (wzrusza ramionami).

(W tej chwili wbiega człowiek w podartej odzieży, jest to dowódca konwoju, za nim wdziera się na pole tłum ludzi).

OKRZYK: Trzymajcie go!

OKRZYK: Nogę mu podstawciel!

OKRZYK: Oho! Nie wymknie się! (Dowódca konwoju stara się przerwać półkole ludzi stojących przed wzgórkami i dostać do Belizara).

OKRZYK: Nie puszczaj go! Daninę wieźli Hunnomi! (Wycie rozlega się znowu).

OKRZYK: Zabić go!

OKRZYK: Chcieli na nas Hunnów sprowadzić!

OKRZYK: Stronnictwo zielonych!

OKRZYK: Rozerwać ich na kawałki!

DOWÓDCA KONWOJU (bity i popychany): Ratunkul Ratunkul! Na miłosierdzie boskiel! (Tłum prze ku wzgórkowi).

BELIZAR (zastanawiając sobą innych): Jakto, na mnie, na mnie! Precz psy! (Tłum nie zważa na niego. Młodzieńcy dobywają oręża. Eudoxia tuli się

do Sergjusza, który obejmuje ją lewym ramieniem i całuje. Księżniczka chce go odepchnąć, ale nagle przechyla głowę i pozostaje tak bez ruchu, z ustami na jego ustach. Tłum zbliża się do wzgórka, wtem rozlega się głos Antemjusza):

ANTEMJUSZ: Hunnowie nadciągają.

(W mgnieniu oka scena opustoszała. Pozostaje tylko grupa ludzi na wzgórkach i dowódca konwoju, który, postępując, dźwiga się z ziemi. Sergjusz puszcza księżniczkę, która odwraca się od niego).

SERGJUSZ (szepem): Wybacz, księżniczko.

EUDOXIA (milczy)

PREFEKT (ocierając sobie pot z czoła, mówi drżącym głosem): Uh, myślałem, że już po nas... Takie nagle awantury ludowe... Brr... (otrząsając się, do Belizara) Ale jak tam z waszą popularnością. Illustissime, nie sądziłem.....

BELIZAR (do dowódcy konwoju): Coś ty za jeden?

DOWÓDCA KONWOJU: Wiozłem daninę Hunnom.

PREFEKT (gwałtownie): Żołnierze zrabowali konwój.

DOWÓDCA KONWOJU: Nie, Nie.... Ludzie moi obronili, już są za obozem.

PREFEKT: Bogu Najwyższemu niech będzie chwała, dogoń ich natychmiast.

BELIZAR: I każ im wrócić.

PREFEKT (sucho): I każ im jechać dalej.

BELIZAR: Co to znaczy? Nie płacę daniny zwyciężonym wrogom.

PREFEKT: Ale Cesarz płaci (do dowódcy konwoju) Dalej....

BELIZAR: Stój... Ani kroku z miejsca...

PREFEKT: Kto tu jest przedstawicielem woli cesarskiej, wasza dostojność, czy ja?

BELIZAR: A ja go niepuszczę, póki się nie dowiem dlaczego....

PREFEKT: A ja odmawiam roztrząsania tajemnic naszej polityki w takim miejscu i w takim towarzystwie....

BELIZAR: Na mój rozkaz żołnierze moi się oddają, a i księżna....

PREFEKT: W każdym razie pozostalibyście wy, patrycjuszu....

BELIZAR: Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć... Ja pobiłem Hunnów, ja uratowałem miasto...

PREFEKT: Spelniliście tylko swój obowiązek, no i broniąc miasta, broniliście przede wszystkim własnej skóry.

BELIZAR: Dość tego mędrkowania. Dlaczego posyłacie daninę Hunnom?

PREFEKT: Czy nie sądzicie, patrycjuszu, że cesarz by wam sam zakomunikował przyczynę, gdyby chciał....

BELIZAR: Puście mnie do cesarza.... Ja mu powiem, ja mu wytłumaczę.... przecie to hańba gorsza od śmierci. Wyście go omotali swoimi kłamstwami. Wstrzymaj konwój do jutra....

PREFEKT: Nie....

SERGJUSZ: Co za podłość!

PREFEKT (przez ramię): E, za dużo tam mówią.

BELIZAR: Nie sprzeciwiałem się wydaniu łupów, sam oddałem przynależną mi część zdobyczy....

PREFEKT (uśmiecha się drwiąco): Nie radziłbym wam też, patrycjuszu, sprzeciwiać się woli cesarskiej.

BELIZAR (trzymając dowódcę konwoju): Nie pozwolę mu jechać dalej.... Za co mię cesarz obraża.... Za zasługi moje, za długoletnią wierną służbę moją, wy... wszystko przez was, żeby mnie poniżyć, żeby mnie pohańbić....

PREFEKT: O, znowu... zaręczam wam, że nikt nawet uwagi na was nie zwraca... Jesteście tylko narzędziem w ręku cesarza, które w dodatku trzeba będzie zmienić niedługo....

BELIZAR: Jeszcze raz zwyciężyłem....

PREFEKT: To też cesarz gotów wam przyznać nawet zaszczyt tryumfu....

BELIZAR: Nie chcę.... O, nie posyłaj daniny Hunnom, błagam cię. Przecież to moje ostatnie zwycięstwo na ziemi.... Jestem stary, umrę niedługo, przestanę wam przeszkadzać.... Powiem cesarzowi....

PREFEKT: Nie wstyd wam przed ludźmi. (do dowódcy konwoju) Wróć do konwoju i w drogę. (Dowódca konwoju wychodzi).

BELIZAR: Bóg was pokarze za mnie.

PREFEKT: Nie sądzę....

BELIZAR: Może i nie. Przestałem wierzyć w sprawiedliwość boską tu na ziemi.... I dobrze tak, bo ja sam nie jestem bez winy. (Nagle, patrząc na Mataswinthę, zaczyna się śmiać): Mataswintho, gdyby Bóg karał za zbrodnie jeszcze za życia, co by się z tobą stało, ty patrycjusko, wdowo po księciu cesarskim, matko przyszłego cesarza....

MATASWINTHA: Nie rozumiem....

BELIZARJUSZ: Co, nie zdradzałaś może swego męża i swój naród wtedy pod Rawenną, gdy byłaś jeszcze królową Gotów. Nie przysyłałaś mi

może wiadomości z miasta, nie pomagałaś nam, wrogom waszym?

MATASWINTHA: I ty mi to wyrzucaasz!... Dla kogo zdradzałam, jeśli nie dla siebie. Nigdybyś nie wziął Rawenny bez mojej pomocy i bez twojej kłamliwej przysięgi....

BELIZARJUSZ: Powiedziałem: i ja nie jestem bez winy....

MATASWINTHA: Pójdiesz do piekła, wiarołomco. Winniejszy jesteś odemnie.... bo ja słusznie zrobiłam i miałam prawo.... Dlaczego przymusił mnie do małżeństwa, on, który był niczem, mię, córkę królewską.... Wy tego nie rozumiecie, bo tu w Bizancjum nikt ojca nie ma, ale ja.... (urywa) Myślisz, że żałuję. Pod Rawenną dwadzieścia razy tyle trupów było, co tu, z mojej winy, a nie żałuję.

BELIZARJUSZ: Nie chwał się swimi zbrodniami, djablico....

MATASWINTHA: Zbrodnia, żem pomagała Basileuszowi karać się zbuntowanych niewolników, psami cesarkimi byli Gotowie, a śmieli sprzeciwiać się jego woli.... Świat cały należy do cesarza....

SERGJUSZ (do Silentarjusza Pawła): Słyszysz?

SILENT. PAWEŁ: O, słowa barbarzyńców są bezrozumne, jak słowa małych dzieci, któż zważa na nie.

MATASWINTHA: I mój syn nie byłby cesarzem, gdyby....

BELIZARJUSZ: I tak nim nie będzie.

MATASWINTHA: Zapłacisz za swoje słowo, patrycjuszu, gdy Justyn zasiądzie na tronie. Bo on będzie cesarzem, on jeden.... W jego żyłach płynie krew królów, a nie dziewczek ulicznych i niewolników, jak.... (Eudoxia zaciska w wściekłości pięść).

PREFEKT (przerwywając): Nie słyszałem na lewe ucho, patrycjuszu a teraz ogłuchłem zupełnie.... Dla ciebie, bo cię kocham.... Mowa twoja pachnie obrazą majestatu, patrycjuszu.... Niepotrzebnie bierziesz sobie tak tę sprawę do serca, drobnostka. (do sług, którzy wrócili przed chwilą) No, coście znaleźli? (Sługa podaje mu listę).

PREFEKT: Ehe, to już inaczej wygląda.... Powiedziano jest: Szukajcie, a znajdziecie. (Do sług): I napewno skradliście połowę, tak jak was znam, moje anioły. Sergjusz, gdzie zakopałeś swoją zdobycz, czy nie pod grubym dębem koło....

SERGJUSZ: Co?

PREFEKT: Tak, tak, smaruj sługę, jeśliś ciekaw tajemnic jego pana.

SERGJUSZ: Ah, ty, przeklęty złodzieju!

PREFEKT: Ostrożnie, możemy ci nałożyć namordnik, chłopaczku, ale przebaczam ci.... Ba, rozumiem cię doskonale, więc chociaż nikt jeszcze nie śmiał mówić do mnie w ten sposób....

ANTEMJUSZ: E, naprawdę.... A dwa dni temu.... Jeszcze musisz mieć ślady na pysku po naszej rozmowie.

PREFEKT (*marszcząc brwi*): Dla Boga! w złą godzinę mi przypomniałeś, bom już był zapomniał.... Dwa dni temu miasto było w niebezpieczeństwie dlatego.... Nie szkodzi, porachujemy się przy okazji (*jowialnie*): Ale widzę, żeście mi nie radzi, no i nic więcej tu nie wysiedzę.... Bóg z wami, Bóg z wami (*odchodząc pośpiesznie ze swoją służbą*).

BELIZARJUSZ (*do Mataswinthy*): Pora i nam się oddalić.

MATASWINTHA: Idź, dokąd chcesz, byłeś z mną nie szedł. Eudoxio!

SERGJUSZ (*chwytając Eudoxię za suknię*): Gdybym przyszedł nocą do ogrodów świętego pałacu.

BELIZAR (*do Mataswinthy*): Wybacz pani!

MATASWINTHA: Nie wybaczę, ja ci tam twego wiarołomstwa nie wyrzucalam, nigdy, a ty.....

BELIZAR: Moja wielka wina, pani, stary jestem i żyć mi nie słodko.

MATASWINTHA: Co to mnie obchodzi.

EUDOXIA (*do Sergjusza szeptem*): Tam niebezpiecznie w nocy.

SERGJUSZ: A ja jednak przyjdę.

MATASWINTHA: Chcę wrócić do miasta.

BELIZAR: Sama?

MATSW. (*oglądając się ostrożnie*): Nie (*nierpeliwie*) Eudoxio.

EUDOXIA: Idę już.

SERGJUSZ (*idąc z nią*): A więc?

EUDOXIA: Ześlę służebną z listem.

MATASWINTHA (*gniewnie*): Eudoxio!

BELIZAR: Boisz się pani?

MATASWINTHA: Ja? Kogo? Martwych Hunnów? Żywych się nie bałam.

BELIZAR: W nocy wszystkie trupy są do siebie podobne.

MATASWINTHA: I tamtych się nie boję, tych z pod Rawenny.... To tak dawno temu. I teraz jestem chrześcianką, a oni byli poganami heretykami, i poszli do piekła, i nic mi nie zrobią.... Nie mogą mi nic zrobić.... Sam patriarcha powiedział... i nie żałuję, słyszysz, i nie żałowałam nigdy, bo mój syn będzie cesarzem.... teraz mi się nawet w nocy nie śni.... Tylko wczoraj, jak bym umrzeć miała (*ukrywając twarz w rękach*), strasznie mi się śniło (*do Eudoxii*). Chodź, jak długo mam czekać na ciebie? (*bierze ją za rękę, obie wychodzą*).

BELIZAR (*idąc za nimi*): Dobrej nocy, Sergjuszu.

SERGJUSZ: Dobrej nocy, wodzu.

MARCELLUS: I skończyło się.

SERGJUSZ: Co właściwie?

MARCELLUS: Z naszymi zdobycznymi pieniędźmi... Mieliliśmy przecież kupić czwórkę koni.

SERGJUSZ: Eh!

MARCELLUS: Eh, nie eh... Gdyby choć odrazu powiedzieli, nie byłbym się tak cieszył, a teraz...

ANTEMJUSZ: Przestaniesz się cieszyć... Nie ty jeden. Spać chodźmy.

MARCELLUS: Nam odebrali, a Hunnom posłali.

SERGJUSZ: Nie mów o tem, bo mnie krew zalewa.

JOANNES: Gdybym wiedział, kto doradził...

SERGJUSZ: Tobys' wiele wiedział! Wracaj do pałacu, Silentarjusz, już późno.

PAWEŁ: Nic... Zostanę jeszcze.

MARCELLUS: A wiesz, czyja to wina? Twój Belizarjusz (*przedrzeźnia*) Nie sprzeciwiałem się wydaniu łupów... Bo sam dość nakradł za poprzednich wojen i tyle dba o innych...

SERGJUSZ: Milcz ty, bo ci wszystkie zęby wybiję.

MARCELLUS: Nie będę milczał. Dlaczego pozwolił na odesłanie daniny Hunnom, miał wojsko za sobą.

JOANNES: Rozkaz cesarza.

MARCELLUS: Gdybym miał 1000 ludzi własnego wojska i miłość ludu.

JOANNES: Dużo na tem zbudujesz.

MARCELLUS: Lud przyjmie z radością każdego nowego (*z naciskiem*) cesarza...

ANTEMJUSZ: Za stary... Belizarjusz niby.

MARCELLUS: A dwadzieścia lat temu?... Zresztą znajdują się inni, młodszy.

JOANNES: Naprzykład Marcellus... Bądź zwycięski, imperatorze.

MARCELLUS: Eh! Niechby był Justyn, syn Germanosa, albo choćby i zarządca pałaców. Te trzęsienia ziemi i dżuma... Myślicie, że to tak bez znaczenia... Za jego grzechy nas Pan Bóg karze, jego i tej bezbożnej rozpustnicy Teodory...

JOANNES: Która od dziesięciu lat nie żyje.

MARCELLUS: Ale żyją ludzie, którzy ust nie śmieli otworzyć, gdy ta heretyczka hańbiła tron Bizancjum (*milczenie*).

ANTEMJUSZ: (*nagle*): Cesarz jest mało strzeżony, nawet podczas uroczystego silentium łatwo wejść do pałacu...

MARCELLUS: Szczególniej podczas uroczystego silentium, tyle się wtedy ludzi kręci po Tryklinium.

JOANNES: Czy wy na serjo? Djabł was opętał... Przecież w razie czego... E, o głowy nasze idzie... I taka zbrodnia.

SERGJUSZ: Nie rodził się w purpurze... I różnie ludzie o nim mówią...

ANTEMJUSZ: Podobno jest demonem. Nie śmiecie się... Widziała go straż... Chodził po pałacu bez głowy... Umrze dopiero wtedy, gdy sam zechce wrócić do piekła.

JOANNES: W takim razie go nie zabijecie.

SERGJUSZ: Bajki... Widziałem go nieraz... Człowiek; jak każdy inny... Stary *(po chwili)* on musi umrzeć, powiadam wam, prędko umrzeć, każda chwila jest droga... Wy nie wiecie, co się dzieje na granicy... Jeśli się nic nie zmienia, to za pół roku sprawdzą się twoje przepowiednie, Pawle...

PAWEŁ: Zabijcie go, jeśli chcecie, żył dość długo... Ale patrz, Sergjusz, słońce zachodzi... Myślę, że gdybyś stanął tam, pod lasem i uchwycił się gałęzi drzew, to słońce także zajdzie...

SERGJUSZ: Znowu zagadka? Tłumacz się jaśniej, bo za zmęczony jestem, żeby... *(Paweł chce mówić)* Nie, rozumiem, ale jeśli, jeśli *(szukając słów)* będziemy mieli innego cesarza, prawdziwego cesarza rzymskiego, który potrafi postawić nogę na karku barbarzyńców...

PAWEŁ: Gdzie go znajdziesz?

SERGJUSZ: Znajdę... Każdy jest lepszy od Justyniana... Choćby zarządca pałaców.

JOANNES: Wolałbym syna Germanosa... Wódz, wojownik...

SERGJUSZ: Poślesz mu gońców na granicę perską, co? Musimy porozumieć się z następcą, inaczej nowy cesarz głowy nam utnie...

MARCELLUS: I darmo nie myślę spiskować.

PAWEŁ: Pomów z Mataswinthą.

SERGJUSZ: A rzeczywiście, żeby jutro całe miasto wiedziało o spisku... Mało ona tu nagadała.

JOANNES: Wierzyć mi się nie chce... Przecież my naprawdę spiskujemy... jak we śnie...

SERGJUSZ: Gdyby nie był posłał daniny Hunnom...

PAWEŁ: Więc sądzisz, że curopalatus jest tym mężem opatrnościowym, który wskrzesi wielkość Rzymu...

SERGJUSZ: Nie on, nie on... Ale nie zapomina, że właściwie my będziemy rządzić...

PAWEŁ: A więc Marcellus, albo Antemjusz, albo może ty...

SERGJUSZ: Dlaczego nie ja... Wątpisz, poczekaj chwilę, a zobaczysz... Tylko cierpliwości...

PAWEŁ: *(kiwa głową)*.

JOANNES: Kto pomówi z curopalatusem...

SERGJUSZ: Ja...

JOANNES: W jaki sposób, gdzie, kiedy?...

SERGJUSZ: Wiem już... Przyjdźcie do mnie *(namyśla się)*, za tydzień, tak, dziś wieczorem, za tydzień... na pogawędkę przyjacielską przy winie... Dobrze?

JOANNES: A curopalatus będzie?

SERGJUSZ: Może... *(nagle śmieje się)* Nie, napewno będzie.

MARCELLUS: Bądź ostrożny.

SERGJUSZ: Nie mam lat piętnastu. *(do Pawła)* A ty przyjdiesz?

PAWEŁ: Przyjdę, Sergjusz, przyjdę, nie trzeba opierać się przypadkowi, bo on rządzi światem... On jeden, niestety...

KONIEC AKTU I.



Rysunek: Czech — Stursa.

MIEDZIANOBRODY

(Z MOTYWÓW RZYMSKICH)

Grzmia fletnie i formingi, lubieżny wstrząsa dreszcz
bachantki śnieżne łono, a czkawki dostał wieszcz.

Evoë! ryczy ciżba, cesar falernu kruz
na swą heterę wylał, w topieli drżącą róż.

Ho! cesar dziś wspaniał! Nie raczy marszczyć się,
więc śmieje się senatorze, starannie ukryj łzę!

Cesar najmłodszą córkę w łóżnicę swoją wziął —
zaszczyt ocenić umiesz, choć syna dzisiaj ściał!

Nad tobą śmierć też wisi, dygotasz każdą noc —
tem głębiej też potrafisz cezara pojąć moc!

Słowicze jedz języki, hetery ściskaj gors,
bo może jutro zbryzgasz krwią senatorski tors!

Lutnista słodko śpiewa zwrotki swawolnych dum —
Evoë Bacche! woła pijany winem tłum.

A nad nim ciche niebo, zefiru miły wiew
i tylko księżyc w pełni czerwieni się, jak krew.

Ho! cesar jest artystą, otworzyć kazał strop,
przez otwór księżyc rzuca promieni krwawych snop.

Eheu! Eheu! stąd wpada fijołków wonnych deszcz!
Cesar znikł! Drzwi zamknięte!... Tłum objął zgrozy dreszcz.

Pięściami w ściany wali, paznogie zdarł do krwi...
daremnie — — marmur głuchy a księżyc krwawo drwi!

Fijołków deszcz wciąż pada, ich poszum — węzów syk —
z tłumu: szloch, jakby dzieci, to jakby zwierząt ryk!...

...Ucichło wreszcie wszystko i tylko gwiazdy drżą,
tylko fijołki wonną nad ludźmi łkają łzą.

— Cezar, jak Mithra - Mściciel, na dachu auli stał,
klaskali wyzwoleniec: Ho! Boski był twój szal!...

MISCELLANEA.

Z NIEKŁAMANĄ RADOŚCIĄ

stwierdzić wypada szczerze oddanie się „Masek” krakowskich propagandzie sztuki nowoj. —

W zeszycie 30-tych uczyniono oddruk z Zdroju wiersza „Rotoage” Guillaume Apollinaire'a (tenże zasię — jako w Europie przyśrodkowej nieco wiadomem — na cele atoi ekspresjonizmu francuskiego) i rysunku znanego plastyka Archipenki.

Z równem zadowoleniem zaakcentować wobec zimnego Historji oblicza należy ciągi w piśmie tym rozwój ku głębi własnej, ujawnion tym razem kreacją nienazwanego dotąd, aczkolwiek dawno już popod świadomości progiem istniejącego, i „Maskom” bezwzględnie koniecznego działu „oślej łaki literackiej.”

BEZ MASKI.

NEOMIDASOM.

Ocz tyle zawartych przy drogach —
Guillaume Apollinaire

W pierwszym zeszycie październikowym (— ogólnego zbioru zeszyt 25.) drukował „Zdrój” utwór „Rotoage” p. Guillaume Apollinaire poświęcony malarzowi Chagall.

Bezaprzecznie: twór ten może się komuś podobać lub nie podobać; może śmieścić, smutkiem napawać — ad libitum t. zn. wedle stawu grobla.

Autor skupił w poemacie tym wrażenia, pomyślenia i uczucia (— oparte anać o jakowś imago chagallowskie —) równocześnie z różnych jednakowoż płaszczyzn świadomości narzucone w chwili koniecznej — jednym słowem stwarzał, o co mu chodziło (—świadomie lub nieświadomie —) z Różności i Wieleści — Jedni.

Takie ujmowanie zjawisk zmysłowych i emanowanie ich z wewnątrz może komuś dogadzać lub nie; rzecz zgola zresztą obojętna dla dzieła, które ma i musi własnym życiem trwać, swój bit udowodnić niezależny, jedyny.

Kwestja tu „zewnętrzna” dotyka rzetelności autorskiej; pytanie: czy stworzono rzecz prawą i jedynorodną (— na wieki —), czy też popelniono elaborat biurkowy (— dla chwili przegonu —).

Takie i temu podobne wyjście jest umożliwiający punktem do rozprawienia się krytycznego.

I na tem koniec.

Żle jednak jest, źle i żakowakie instynkta sugeruje — jeśli pismo rzekomo poświęcone sztuce (sic!) postępuje tak, jak właśnie postąpiły sobie „Maski” — (pisemko o przedwczesnych pretensjach artystycznych) — w Nr. 30. z dnia 20-go października. W zeszycie tym na str. 594. przedrukowano utwór wżwzy wymieniony zaopatrując go w kłopotliwy nadpis:

Z oślej łaki literackiej
Wycinanka (sic!) ze „Zdroju.”

Rozprawienie się dykusyjne co do tego kroku (— noga wdepnęła tu w coś nieprzyzwoitego) uważać należy w rzecz nieodpowiednią i zasadniczo uwłaczającą godności człowieczej; krótko i wżwłotowo mamy tu do czynienia z czemś co należy zdeklarować jako parafiańskie zdeformowanie sumień, czyli z nieprawdopodobną próżnością, bezpodstawną pretensjonalnością, z typowo kupczykowką arogancją, duractwem i beznadziejną mizerją duchową.

Wszakże — jak zaznaczono — rzecz dana może się podobać lub nie, może śmieścić, bardzo serdecznie śmieścić — zgodzi! Obowiązkiem redakcji było — z chwilą, gdy coś o tem rzecz zamierzała — (— przecież chcieli — niewiedzieli; krakowiacz ci ja —) — powiedzieć, przeprowadzić analizę i na mocy stu-

znych czy niesłusznych (— rozstrzygałby kto inny —) przesłanek odesłać autora wraz z utworem do stu dyabłów.

Lecc tak? — pytam dla kogo, czy dla czego ten nadpis? Wprost trudno znaleźć jakąkolwiek przybliżenie logiczną odpowiedź; Czy dla reklamy? czy dla odrzeknięcia się? czy dla własnej dziecinnej igraszki — dla zadowolenia własnego? czy dla interesu? Któż pojmie głupstw przepaście i bredni odcłania —

„Maski” przechodziły w czasie swego trwania (— aby w tej formie jak najkrótszem było, po co powiększać literacki śmietnik? —) bardzo charakterystyczne wahania — w lewo i w prawo;

od szumnych, dumnych i górnych: „honor myśłom, z których błyska nowy duch i forma nowa”, „zaorąduje wiadnianym trudem poszukiwaczy przyszłości”, „to musi mieć formę artystyczną, formę nieodwołalnie piękną, przed którem nie ostoi się nic, które jak młot walić będzie i przed którem wazytko polęże” — poprzez zbławowaną, nieszczera, pomyloną kokieterję z ekspresjonizmem, poprzez różne walki i mirandolenia po głupekowate blazenkowanie, fidrygalenie i rzygowny migreniczne; wszystko to na podawecze dzieł nieładających wielkich zmarłych, którzy przeciw temu nieprawemu aneksjonizmowi bronili się już nie potrafią.

Z tego nie wynika bynajmniej, by „Maski nie reprezentowały jakiegóś „kierunku” — przeciwnie — jasno i otwarcie i bez zastrzeżeń popierają i protegują — stary zresztą jak świat „kierunek”: FIDRYGALIZM.

Fidrygalizm t. j. sztuka dla interesu (hasło: było szło!) — Fidrygalizm t. j. stwierdzanie wszystkiego co płaskie, krzykliwe więc zrozumiałe i „jasne” (— donośne —) —

Fidrygalizm t. j. ukończenie mętnej wody —

Fidrygalizm t. j. nienawistność wszystkiego co wyżynne, szlachetne i czyste (— przezrocze —)

Fidrygalizm t. j. umiejętność redagowania pisma bez poczucia kompozycji artystycznej, bez „etyki” redaktorskiej —

Fidrygalizm ten rośnie owo na polskim ugorze, jak on krzew z wybrzeży Martwego Morza; takie też i wydaje owoce, próchno cuchnące.

Jednym z piem (wielu) ugruntowanych na zasadach fidrygalizmu są „Maski”.

Przeto „Maski”, idą, — idą, bo zarzekują się każdym zesytem, każdą niemel stronicę waselkich by ostrożnych i umiarkowanych dążeń wżwzy, waszytkiego co wzniósł, prawe, nieodzwone;

byle koltunerja z Czarnej Wai, z Podgórza czy Psiej Wólki była zadowolona, byle prenumerowała, byle nie odstraszała się, byle interes szedł — taka jest „mija” „Masek”; piękna i szlachetna, dumna i czysta zarazem.

Aliści ukoronowanie sakramentalne dokonalo się w zeszycie trzydziestym na wiekopomnej 594. str. „Z oślej łaki literackiej!” — do kogóż tu właściwie pito? na czyj pias ta przygrywka? któż tu jest „obrażony”? czy „Zdrój”, czy Guillaume Apollinaire, czy Chagall, czy Bederaki, czy ktoś inny, czy wazysey razem? —

Wżdy wierę — tytułarny acceptant: OSIOŁ!!

W tem sekł

I to moi panowie jest pociągnięciem fatalnem!

Na sto kroków zauważyć można matową sytuację!

Tak moi panowie, to może doszczętnie popuść tak młile zakwitający, bobkowym kształtem uzielniony, — z chwastową zadzierzastością zakorzeniony interes. Nastąpiło przeliczenie się i przeliczowanie gwałtownie samochące.

Wrzaskie to na „zegarze dziejowym” coraz donośniej i roslęglej biją wartkie godziny. Tak!

I na mocy tych właśnie już dokonanych przemian, z służnością tu przeciw jednemu nieomylnem staje się twierdzenie, że nastąpi samowiedza samostanowienia o sobie Osłowej nacji.

A wtedy gorze wam dobrzy panowie.

W dniu w którym objawi się uroczysta proklamacja niezależności narodu osłów —

w dniu tym o zaraniu motłoch ośli — w odwet za zgwałconą cześć, za szargany honor — napadnie i szturmem zajmie przybytek redakcyjny, spali w brykietowym ogniu cały kilkutyśieczny nakład, a stamtąd gromadnie pogna do drukarni, kędy w kaszłach czcionki dziewiczo — przymilnie wyzwołi swych wyceklują, rostrąci z warjackim zamachem składy one i kolumny i kopytami zgriuchocą.

Natenczas podniósłszy jak najwyżej i jak najszywniej chwaścę, — z rykiem „zemsta na wroga“ z tententem, charkotem i krwią w ślepiach — motłoch oszałali — wtargnie do prywatnych miejkań redaktorów; ci, jakkolwiek przerażeni aż do „głębi“ niepospolitą sytuacją nie zatracą jednak odpowiedniej, wypraktykowanej powagi, lecz z wyszukaną arogancją, w masce na twarzy i głowie (— podobniej nieco z dala do tej z stańczykowskich konfektów — lecz tylko z dala; bliż zdradzi rodzime pielesze- rekwiwiztornia cyrkowa —) — zapytają pulchną prawicą podkreślając gest wyniosły (— lewica w kieszeni —):

— czego Panowie sobie życzą —?

Tu nastąpi scena groteskowa i dogłębnie tragiczna zarazem; chór osłów zaryczy: Zdjąć maski!

— Redaktorzy starają się zaskłanąć sytuacją; bledzi i setnie drzący jednak z mocą zagajają:

— ależ Panowie, w każdym razie oczywiście, jednakowoż owzem, ale —

Tłum ryczy, wyje, tupie, pieni się: zdjąć maski! zdjąć maski! Z wagarliwym gestem, mającym zataić konieczność kategoryczną, zdejmują redaktorzy maski — — —

Lecz coż to?!

Więc tak?! więc zdrada?! więc podłość?! więc zaprzęstwo?! Z obnażonych z masek głów sterczą duże, szare, włochate uszy.

Zakotłuje się tłum i w pierwszym odruchu zepchnie się ku drzwiom, zepże się k'sobie.

Potem —

co potem nastąpi to już o tem patrz nowy rozdział historii p. t.: finita la comedia, czyli: przyszła kryśka na Matyska; poprostu — redaktorzy zostaną za zaprzaństwo i sprzeniewierzenie się rasowo-genezyjnym ideałom zatratowani, rozszarpani, a doczesne szczytki rozłożą osły na kopytach swych na świata krańce, aż po słupy Heraklesowe, kędy w morzu obmyją nogi swe skrawkione i odejdą przepelnieni szczęściem, jakie daje poczucie spełnione obowiązku, do domostw swych, by czekać na mandaty poselskie względnie teki.

Minogi jeno, aczeżuje i małże chwalić sobie będą amaczne kęski, które woda zmyła z kopyt.

Oto kara za zdradę — słuszna i w kodeksie etycznym przewidziana.

Gdyby jednak, czego ani na chwilę nie należy przypuszczać — samostanowienie osłów przesunęło się w lata dalsze — należy doraźnie zastosować postępowanie inne.

(— wszystko w tonie „maskowym“ —)

Mianowicie,

W dniu likwidacji wszelkich wartości przebrzmiałych i prawd, które nigdy prawdami nie były — w dniu tym: należy bezzwłocznie pospędzać redaktorów z oliń lak na których tak chętnie przebywają — do szkółek ludowych i zasadzić ich do osłej ławki (— wedle dawnego systemu samotna ława karna

przeznaczona dla tępych nieuków —) — i tam udzielić im podstawowych wiadomości

— primo —

z zakresu dobrego wychowania, oraz najprymitywniejszej przyzwyczajności w stosunkach ludzkich,

— secundo —

z geografii: że to świat nie kończy się na czarnowiejskiej czy podgórskiej rogatce, lecz sięga ździebko dalej —

— tertio —

z zakresu robót społecznych: że redagowanie czasopisma nie jest zabawką i żonglowaniem, nieuczem i lśnieniem, lecz twardym trudem i odpowiedzialną misją — —

Miejmy nadzieję, że panowie redaktorzy po pewnem czasie (— o ile nota bene nie będą zbyt krnąbrni i uparci i pilnie do nauk przykładć się „zechcą —) pojmą o co chodzi — o rzecz (— bezsprzecznie —) wielkiej uwagi.

Nadzieje nasze podstawowe umotywowanie swe znachodzą w tym pocieszającym fakcie, że panom tym nie obce są, ambicje pedagogiczne jako, że kunsztem tem poranie się zawodową cieszy się u nich sympatya.

Zresztą trudniejsze lekcji zagadnienia wyjaśni i niejako poglądowo wyjaśni, ułatwi z dogłębną sprawością p.p. Jeden i Drugi —

p. Trzeci będzie miał doskonały temat do noweli fantastycznej n. p. p. t. „Nawrócenie“ —

p. Czwarty napíše o tem feljeton niedzielny —

p. Piąty namaluje 1001. karykaturę —

Panie Szóstka i Siódemka wykonują lunatyczne piruety w takt upojnej muzyki: pije Kuba do Jakóba. —

I wszystko będzie dobrze, wesoło i składnie wedle sparafrazowanego porzekadła: głupio było, głupio będzie —

„..... aż w potrójnym koziołku fikłaś Pani w kwiatki! więc z radości pękałam, jak sukni zakładki“ mówi poeta. Do czasu!!

EMIL ZEGADŁOWICZ.

OTOKAR BREZINA

Pięć zaledwie niewielkich tomików stanowi całość dotychczasowej twórczości Otokara Breziny, ale o sile tak przejmującej, iż słusznie zaćmiewają całą współczesną twórczość česką.

Mniejsza: o genealogię i źródło tego ognistego natchnienia. Niewątpliwie wyszło ono z „listów więziennych“ Husa, z Apokalipsy, z nauki Braci Czechskich z filozofii indyjskiej, z Shelleya, Whitlutmiana, Verhaerena i Kasprovicza.

Sto nazwisk, sto szkół i prądów, można przytoczyć na przeprowadzenie porównania, ale żadne z osobna i wszystkie razem nie powiedzą nam nic więcej ponadto, że Ot. Brezina zwracał się do najwyższych duchów ludzkości chcąc dowiedzieć się od nich prawdy o zagadce waszechbytu.

Ala jeśli konieczne już miał się czegoś nauczyć od wymienionych mistrzów, to jedynie sposobu w jaki zbliża się człowiek do zjawisk materialnego i duchownego świata, nie badając go, nie śledząc, ale młując i podziwiając ten kosmos cierpiący, straszny, skręcony w skurczach co chwila rodzących się istot, bezlitosny, bo bez odpocynku strąca światy w otchłanie, potężny, bo nikt mu się oprzeć nie zdoła. Wszystkie kosmiczne światy, gwiazdy, ziemia, stworzenia, ludzie tworzą jedność organiczną, jedną ożywione są tęsknotą i jednym uwielbieniem dla Nieakończoności.

Apokaliptyczna wizja poety rzuca je wzajemnie w ramiona każe żyć w spólności braterskiej, w śpiewie piewów ku czi

Najwyższego Imienia. Pojęcie swego bóstwa charakteryzuje poeta:
 Imię twe jest przebudzeniem wszechgłęb, wszechświa-
 tów, cisz i mór
 i wazechnarodzin krzyk jedyny i szloch umierających dusz
 i wirum soków życiodajnych, rozkoszą, co się w nerwach
 ślania...
 i szumem wszelkich pocałunków, stukotem krwi w ty-
 siuacu łon,
 wazechgrozy dreszczem, skrzydeł wianem, łopotem ich
 wazechuśmiechem,
 pochodem tłumy, lat orkiestrą, gdzie każda chwila gra
 swój ton...

Przed tym Bogiem korzy się proch marny i nędznik człowiek, ale poeta „choć skuty łańcuchami i przygnieciony ciężarem”. Zrywa się do wielkiego buntu, rozumie słowa oceanów i mowę wszechświata i waży się odkryć nową tajemnicę ognia miłości, z której, rodzą się życia. I gdyby można zdefiniować w jednym zdaniu twórczość Bereziny, najlepszym jej wyrazem byłoby: Miłość Rodzicielka.

Jeden z pobratymców duchowych i najbliższy przyjaciół poety rzeźbiarz Bilek w ten oto sposób ujął ten dogmat wierzeń poety: Krzyżem zdjętym z bark orze Chrystus rolę pod nowy zasnów.

I nic lepiej nie może wyrazić idei poety głoszącego: przez boleść do poznania. przez miłość do jedności.

Z boleści poczyna się świat, w męce macierzyństwa rodzi się człowiek, by w bólu i w pocie krok za krokiem zbliżyć się do „godziny wyzwolenia”, bo śmierć jest niczem innym jeno wyzwoleniem nie strasznym, ale błogosławionem.

Nieakończoności czekają na nas, inne, sławniejsze wiosny wieczności brzmiące pieśni — wyswobodzeni (Pozdravujeme jaro)

Konsekwentna jest linia rozwoju poety. Od pierwszego tomiku „V tajemnych dalkach”, pełnego pesymizmu, do transcendentalnych hymnów ostatniego zbioru „Ruce” jedno i to samo przewija się pragnienie wyzwolić tu od spraw ziemskich!

Doszedłszy do poznania, że ciężary materialnego świata i sprawy chwilowej naszej formy istnienia, która się nazywa „życiem na ziemi” zbyt blache są i nikłe, coraz bardziej się od nich odsuwa, coraz więcej niemi gardzi, by dojść do tej doskonałości, którą stawia za wzór każda asceza — do duchów obcowania.

I herezja z Port Royal i Teresa de Jezus i męczennicy średniowieczni i indyjaacy fakirzy niczego innego nie pragnęli, dążąc do uciśnienia zmysłów przykuwających do ziemi, a uciśnienie to odbywało się drogą umartwień i zaparcia się siebie.

Przeciwieństwo głosi poeta...

Każdy objaw życia jest dobry, bo jakkolwiek niedoskonałym i skutym łańcuchami jest człowiek, to jednak żyjąc pełnem życiem wypełnia przykazanie przyrody, a przez zrozumienie tych przykazań i poznanie praw dochodzi do doskonałości. Więc i rozkosz jest święta, ta sama, którą opiewał w „Pieśni nad pieśniami” najmądrzejszy król judejski:

Jest radość, jakgdyby strącona pieśń życia wyższego,
 śpiewa, gdy poi omdleniem mistyczny czar wina,
 jak uśmiech płonący na twarzy śpiącego,
 gdy nagle objęte nim serce o śnie zapomina.

Jest radość jak zachwyt człowieka, co w głębie dusz
 braci przecieka,
 jak światła poczęcie, co w wieków głębinie swoje ma łożę
 Jest radość jak przeszłość nieżywa, co w mroki odwie-
 czne odpływa.

jak żarki przypływy zachodu przez czarne spienione
 morze...

Jest rozkosz w uściskach kochanki „rozkwitłej jako drzewo która drzy szczęściem i obrzuca pocałunkami, zazdrości siostrą i płonie ogniem oczekiwania, bo spełnić się ma przeznaczenie i ziać nadzieję Odrodzenia.

Dłatego święta jest namiętota i uświęconym jej szal twórczy, tak jak go uświęcili Grecy w misterjach eleuzyjskich i słowiańskie uroczystości Kupali.

Człowiek nie przedstawia dla poety nie innego, jak tylko jedną z wielu form żyjącego wszechświata, podobnie jak świat zwierzęcy i roślinny, podobnie, jak tysiące innych organicznych tworów, dlatego nie warto spoglądać w malutki mechanizm duszy człowieczej, gdy przed oczyma rozlega się olbrzymi bezmiar przestworza.

Wszystko co ludzkie marne, jest i małe, więc i to cierpienia i trudy i tragedie nie warto zastanawiania. Mijają one bez śladu w poezji Bereziny.

Ekstaza, halucynacja, wielki religijny patos w jakim żyje poeta odrywa ją go od rzeczywistości, po za sferami ziemskimi przebywa duch wizjonerski, a mając to poczucie, że jest jednym z tych niewielu wybranych, którzy mogą obcować z bóstwem czuje się powołanym do kapłaństwa i do pośrednictwa z Nieakończonością. Kapłaństwo takie nakłada obowiązki, przede wszystkim obowiązek nauczania i modlitwy. Tak dalece poczucie kapłaństwa wzrosło z pojęciem Bereziny, że inaczej przemawiać nie umie jak tylko w podniosłym tonie nauczyciela do swych i mowa jego jest niezwykłą. Pełna podniosłych porównań, przypowieści, zwrotów retorycznych, pełna dobranych słów, krótko mówiąc mowa nie codzienna, kapłańska.

Hymn, psalm, dytyramb, to jego forma. Jeno czasem, gdy go natchnienie uniesie i wizja tajemnic boskich zbyt azybką nadpływa strugą ciasno mu w formie wierszowanej.

Płynąca lawa słów pomieścić się nie może w atrofie i wtedy tworzy wierzący wolny, rytmiczny co prawda, ale swobodny.

I dziwne są te obrazy i dziwne kojarzenie wyobraźni. Poeta błądzący w sferach niebieskich, syn gwiazd i słońce, wyzwolony od ciężaru ziemi — maluje wizje tych światów do których dotarł wyobraźnią.

Podobnie jak Dante przeżył niebo i piekło wraz z całą grozą i krasą mistycznych zachwytów i stworzył szereg obrazów plastycznych obowiązujących przez długie wieki Chrześcijaństwa i sztukę chrześcijańską tak i Berezina uplastycznia królestwo Nieakończonego tworząc dla swoich wierzeń pojęcia realne dostępne maluczkim, którzy wznieść się nie mogą do takich szczytów.

Twórczość Bereziny jest nie tylko najwyższym wyrazem mistyki, ale zadatkami przyszłej religii.

Rzekłbym, religii aryjskiej, jako przeciwstawienie Chrześcijaństwu, ścieśniej nawet religii słowiańskiej, bo zawiera w sobie pierwiastki obce germańskim i romańskim kulturom.

Inny jest bowiem Chrystus Katalończyka, krwawy, bolesny, mściwy, inny Niemca — ponury, zimny i wyrachowany, a inny nasz polski Chrystusik zawieszony na rozstajnych drogach, król nad królami, nie w purpurze, w ranach odróżających widokiem, ale dobrośliwym, król — chłopków, zrodzony na śnie między chudobą, która stanowi nie tylko własność i mienie, ale szersze pojęcie rodziny.

Chrytus błogosławiący kłosa na łanie i Chrystus wodzący na stos to są pojęcia tak różne, tak przepaściście odrębne, że śmiało można mówić o innej religii, bo człowiek stworzony na podobieństwo Boga tworzy sobie Boga na podobieństwo własne.

Więc i słowiański Bóg istnieje.

Obcował z nim Towiański i Mickiewicz, Tolstoj i Kaspro-
 wicz, Miciński i moderną rosyjską akupiona wokół „Nowego

prądu" (Nowy Put') I ten Bóg miał zawsze na ustach: Miłość i braterstwo dusz i ludzkości. Więc i samotnik Brezina ukryty w zapadłym kącie Moraw marzy o takim Bogu, bo Bóg chrześcijański zbyt okrutnie zda mu się chłostać jego naród, bo Jezus Nazareński reprezentowany w Czechach przez obcą oligarchię umiał jeno zadawać okrutne ciosy.

A taki Bóg jest Bogiem tyranów.

Z dusz milionami tajemnem braterstwem jesteście złączeni i tylko radością milionów będziecie uszczęśliwieni.

woła poeta, wierząc, że niebawem zrodzi się ludzkie pokolenie w którym niemasz zła, ani nienawiści...

Wpływ Breziny na współczesną poezję czeską jest znaczny. Jakkolwiek t. zw. „szkoła” ograniczyła się zaledwie do trzech nazwisk (Ot. Novotny, Fr. Tauter i R. Bojko) to jednak płomienna twórczość poety oddziałała w mniejszym, lub większym stopniu na całą generację.

Ulegał jej potroże C. Theer i O. Fiszer, nie wygiął się jej Toman, Medek, a nawet Antonín Sová wsłuchiwał się w nauki mistrza z Jaromerzyc.

A w sztukach plastycznych Franciszek Bílek, gotycki prymityw, jak go zwie (M. Marten Mukarten: François Bílek) przynajmniej się do jedności duchowej z Breziną.

Na tle stosunków politycznych i kulturalnych w Czechach tem bardziej wypukła się postać poety kapłana.

WYCINANKI

„Dziennik Poznański”:

„Wielka świątobliwość jego pozwala się domniemywać, że jeśli kto, to śp. ka. biskup Jedzink zaraz po zgonie znalazł się w Królestwie niebieskiem.”

„Ze sprawozdania Tow. Przyj. Nauz za rok 1917”:

Kierownik galerii starał się o to, aby referatami i odczytami zachęcić szersze koła społeczeństwa naszego do czynniejszego interesowania się galerią. Starania te przyniosły pewne rezultaty, z których podnieść należy jednorazowe ofiary na cele galeryjne: p. Kasprowicza z Gniezna 500 mk., p. Grabskiego z Gniezna 100 mk. i p. Drosteo z Poznania 500 mk.; roczny dar Stowarzyszenia Artystów w Poznaniu (z dochodu wystaw artystów polskich) wynosił 214 marek.

„Zdobycze kulturalne niemieckie.

Kunstchronik und Kunstmarkt, Lipsk 1. listopada 1918:

In Prag-Wrschowitz wurde am 25. September das Knopf-Museum Heinrich Waldes eröffnet. In der gut illustrierten 1/2. Nummer des III. Jahrganges der „Berichte aus dem Knopf-Museum Waldes“ wird die deutsche, höhmische, polnische, bosnische und litauische Tracht vom verschluss-technischen Standpunkt aus eingehend besprochen.

Wykrzyknik po III uczyniła redakcja „Zdroju” potem potwierdzamy, że rzecz jest zupełnie poważna i nie pochodzi z „witzblattu”.



Drzeworyt oryg. — Malgiersala Kubicki.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego

nabyć można za pośrednictwem naszym

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

Kurs handlowy

3-go stycznia 1919.

niesiące. Wyksta-

...w wszystkich działach handlowych włącznie steno- grafji i pisanie na maszynie. Prospekty darmo u pedia za- kładu przy ulicy Berlińskiej 4. (wila ogrodowa). Kursy miesięczne i wieczorne księ- kowości rolniczej.

Zgłoszenia i prospekty co- dziennie w sekretarjacie

...-licy Wilhelmow- 25 od godziny 9—1

—6. Godziny przy- jęć kicrownika: Berlińska 4: codziennie od 12—1 i ulica Wilhelmowska 25: codziennie od 5—6.

Pedagogium - Poznań

Oddział
Szkoły handlowej Helmana.

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI, POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA- TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.

(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. w oku- pacji austriackiej.

„OSTOJA”

Spółka Wydawnicza
w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice

literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można
w wszystkich księ-
garniach.

MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze :: :: ::

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: KRAKÓW, Wojska 1 19
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 38 kor. — rocznie 75kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępowo sprzedają „Maski”
objęta Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań

Bluzki
Gorsety
Halki

Pończochy
Rękawiczki
Kołnierzyki

Dla dzieci

Sukienki
Trykoty
Fartuszki

Torebki
Kołnierzyki
Kapelusze

Dla panów

Skarpety
Rękawiczki
Krawaty

Szelki
Trykoty
Parasole

TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.

Wielkie Sale Wystawowe

znajdują się teraz

przy ul. Berlińskiej 10 wysoki parter

Antykwariat - Stała wystawa obrazów.

K. ANDRZEJEWSKI, Poznań, ul. Berlińska 10 w. p.

ZAKŁAD OŚWIETLANIA

LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. Berlińska 18 (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 3133.

**Nadzwyczajny wybór
wykwintnych przedmiotów do oświetlania
elektrycznego, gazowego i okowicianego
w wytwornem i skromnem wykonaniu.**

Aparaty do gotowania i ogrzewania

Bracia Kiwi

Tel. 2947 Poznań, ul. Wiktorji 9 Tel. 2947

**Cieszący się najlepszą renomą
magazyn stylowych wielkopańskich
urządzeń mieszkalnych.**

∴ ∴ Najwyższa sprawność. ∴ ∴

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Beohsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w **Poznaniu, ul. Wiktorji 19**

założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

